

GŁOS SERCA

Janette Oke

Psalm18.pl
twoje źródło inspirujących książek

www.wydawnictwo.psalm18.pl

❖ *Od autorki* ❖

Chciałabym dostarczyć moim czytelnikom kilka faktów dotyczących Północno-Zachodniej Policji Konnej. Została ona założona w 1873 roku jako odpowiedź na problem handlu nielegalnym alkoholem oraz bezprawia panującego na zachodzie Kanady. Wieść niesie, że typowy funkcjonariusz tej policji ubrany był w czerwony mundur, by można go było łatwo odróżnić od żołnierza kawalerii Stanów Zjednoczonych. Zadaniem policji konnej było żyć w pokoju z Indianami, a nie zabijać ich. A wiele indiańskich plemion miało już wcześniej starcia z oddziałami z południowej granicy. Z tego czy innego powodu, szkarłatne mundury stały się wkrótce cechą charakterystyczną, odróżniającą mężczyznę noszącego taką kurtkę.

Zarówno mundur jak i nazwa ewoluowały. Tytuł *Królewskiej Północno-Zachodniej Policji Konnej* został przyznany przez króla Edwarda VII w roku 1904, w uznaniu za zasługi Policji dla Kanady. W roku 1920 nazwę zmieniono na *Kanadyjską Królewską Policję Konną*. W końcu czerwone mundury zakładano jedynie jako strój galowy, na służbie zaś noszono bardziej praktyczne brązowe kurtki, ponieważ, jak powiedział

dowódca policji, Sam Steele: „utrzymanie czerwonej kurtki w czystości w ciągu trzech miesięcy na szlaku było rzeczą prawie niemożliwą, nawet dla mężczyzny schludnego i zadbanego.” Kapelusz również zmieniał się od oryginalnego kapelusika typu pillbox, przez różne kształty i modele, do filcowego kapelusza z szerokim rondem, zwanego Stetson, który został zatwierdzony w 1901 roku.

Na daleką północ przywiodła policjantów gorączka złota w Yukonie w 1895 roku. Do 1898 roku w Yukonie było już dwunastu oficerów i 254 sierżantów i posterunkowych. W tym czasie Policja Konna używała już nowego środka transportu – psich zaprzęgów. Z pomocą psów husky patrolowano setki mil kwadratowych pokrytego śniegiem terenu. Na obszarze patroli rozrzucone były miejsca zamieszkania traperów, kupców oraz indiańskie wioski.

Choć staram się nie być *nazbyt* sentymentalna, gdy myślę o policjantach konnych i ich roli w rozwoju zachodu Kanady, dla mnie są oni symbolem mej kanadyjskiej ojczyzny. Do mieszkańców okolic Lacombe: chciałabym was zapewnić, że wśród nazw takich jak Spruceville, Blackfalds, Brookfield, Turville i Iowalta; Woody Nook, Jones Valley, Canyon i Eclipse; Eureka, Spring Valley, Arbor Dale i Blindman; Central, West Branch, Birch Lake i Lincoln; Milton, Mt. Grove, Sunny Crest i Morningside; Gull Lake, Lakeside i Fairview; nie znajdziecie miejscowości Pine Springs. W samym Lacombe nie znajdziecie też postaci historycznej pasującej do opisu taty

Pearlie. Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących lub nie, jest niezamierzone.

Chciałabym również zapewnić was, że z racji dorastania w okolicach Hoadley i spędzenia szkolnych lat w małej, jednosalowej szkółce w Harmonien, mam w sobie wiele miłości dla życia wiejskiej społeczności z rejonu Alberty. Z miejscem tym wiąże się wiele miłych wspomnień.

Spis treści

<i>Od Autorki</i>	9
Rozdział pierwszy <i>Elizabeth</i>	15
Rozdział drugi <i>Pierwszy krok</i>	32
Rozdział trzeci <i>W drodze</i>	37
Rozdział czwarty <i>Calgary</i>	43
Rozdział piąty <i>Rodzina</i>	51
Rozdział szósty <i>Zapoznanie</i>	59
Rozdział siódmy <i>Plan pana Higginsa</i>	76
Rozdział ósmy <i>Nowa szkoła</i>	87
Rozdział dziewiąty <i>Odludzie</i>	101
Rozdział dziesiąty <i>Lars</i>	109
Rozdział jedenasty <i>Petersonowie</i>	116
Rozdział dwunasty <i>Wyprawa do miasta</i>	122
Rozdział trzynasty <i>Sobota</i>	129
Rozdział czternasty <i>Niedziela</i>	133
Rozdział piętnasty <i>Początek szkoły</i>	140
Rozdział szesnasty <i>Współlokatorzy</i>	146
Rozdział siedemnasty <i>Niedzielne nabożeństwo</i>	155

Rozdział osiemnasty <i>Listy</i>	158
Rozdział dziewiętnasty <i>Pogromca myszy</i>	165
Rozdział dwudziesty <i>Gość</i>	170
Rozdział dwudziesty pierwszy <i>Uczniowie</i>	176
Rozdział dwudziesty drugi <i>Szkolny piec</i>	183
Rozdział dwudziesty trzeci <i>Plany</i>	192
Rozdział dwudziesty czwarty <i>Napoleon</i>	205
Rozdział dwudziesty piąty <i>Licytacja koszy</i>	210
Rozdział dwudziesty szósty <i>Andy</i>	221
Rozdział dwudziesty siódmy <i>Przerwa w zajęciach szkolnych</i> ...	224
Rozdział dwudziesty ósmy <i>Dee</i>	236
Rozdział dwudziesty dziewiąty <i>Powrót do szkoły</i>	244
Rozdział trzydziesty <i>Przedstawienie</i>	256
Rozdział trzydziesty pierwszy <i>Wigilia</i>	264
Rozdział trzydziesty drugi <i>Święta Bożego Narodzenia</i>	275
Rozdział trzydziesty trzeci <i>Wyznanie grzechu</i>	283
Rozdział trzydziesty czwarty <i>Powrót do Pine Springs</i>	291
Rozdział trzydziesty piąty <i>Wiosna</i>	295
Rozdział trzydziesty szósty <i>Pożegnanie ze szkołą</i>	304

Rozdział pierwszy

❖ *Elizabeth* ❖

Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nie sam list. Wszyscy przywykliśmy do korespondencji od Jonathana, bo docierała dość regularnie i zawsze wywoływała pewne poruszenie w naszym domu. Dlatego to nie list mnie zaskoczył, ale to, co zawierał. A reakcja mamy na jego treść była dla mnie jeszcze bardziej zdumiewająca.

12 kwietnia 1910 roku rozpoczął się jak każdy inny dzień. Wstałam wcześnie, miałam poranny czas cichej modlitwy w swoim pokoju, wyszykowałam się do pracy, wraz z rodziną zjadłam śniadanie i wyszłam o 8:00, aby przejść jedenaście przecznic do szkoły, w której uczyłam. Zwykłam być tam wcześnie, aby mieć wystarczająco czasu na poranne przygotowania przed przybyciem uczniów. Zazwyczaj byłam pierwszą nauczycielką, która pojawiała się w szkole, dzięki czemu cieszyłam się poranną ciszą w tym na ogół gwałnym budynku.

Tamtego cudownego, wiosennego poranka świat wydawał mi się szczególnie piękny i pełen życia. Z jakiegoś powodu zapach kwiatów w powietrzu i śpiew ptaków skłonił mnie do spojrzenia w głąb siebie, a zdarzało mi się to bardzo rzadko.

Jak się miewasz w ten cudowny, wiosenny poranek? – zapytałam samą siebie.

Dobrze, dziękuję – odpowiedziałam sobie w głowie, po czym niemal się rumieniąc rozejrzałam się szybko w obawie, że ktoś może usłyszeć moje myśli. Nie miałam zwyczaju mówić do siebie – nawet w myślach, a zwłaszcza podczas spaceru w miejscu publicznym, po tej przysłoniętej klonami ulicy. Jednak w tej chwili nikt nie szedł ze mną chodnikiem, więc kontynuowałam dialog z samą sobą.

Ach tak? A cóż to czyni twój dzień tak wspaniałym, a twój krok lekkim jak piórko?

Myślę, że zawdzięczam to temu porankowi, życiu i zapachowi powietrza, którym oddycham.

Jakże to miłe. Zawsze byłaś osobą czerpiącą przyjemność z samego faktu istnienia. Na pewno będziesz szczęśliwa i zadowolona gdziekolwiek na całym Bożym świecie.

Nie, nie mogę się z tym zgodzić.

Zaskoczył mnie nagły zwrot w tej rozmowie i nieoczekiwana zmiana moich emocji. W mojej duszy zapanowało jakieś dziwne i nieznanne poruszenie. Pojawił się niepokój skłaniający mnie, bym zwróciła na nie uwagę. Próbowałam wepchnąć to uczucie z powrotem w zakamarki mego jestestwa, ale przepychało się zachłannie na wierzch moich myśli.

Zawsze to robisz! – stanowczo odpowiedziało moje wnętrze.

Za każdym razem, gdy próbuję wyjść na powierzchnię, spychasz mnie z powrotem w dół... Dlaczego tak bardzo lękasz się stawić mi czoła?

Lękam się?

Tak, lękasz się.

Nie lękam się. Po prostu wierzę – tak mnie nauczono – że powinno się być zadowolonym z tego, co się ma, zwłaszcza jeśli otrzymało się tyle błogostawieństw co ja. To wstyd – ba, nawet grzech – czuć niezadowolenie, ciesząc się jednocześnie tymi wszystkimi dobrymi rzeczami, którymi życie – i mój tata – mnie obdarzyli.

Tak, oczywiście, grzechem byłoby lekceważenie błogostawieństw. Nie chcę, byś to czyniła. Ale być może, po prostu być może ukoiłoby to twoją duszę, gdybyś spojrzała uczciwie i szczerze na to, dlaczego ta mała tęsknota od czasu do czasu pociąga cię za rękaw.

Było to dla mnie nie lada wyzwaniem, i choć nadal czułam bojaźń, a może nawet miałam małe poczucie winy, zdecydowałam, że muszę spojrzeć w głąb tej tęsknoty, jeśli chcę wreszcie uciszyć ów wewnętrzny głos.

Urodziłam się 3 czerwca 1891 roku jako Elizabeth Marie Thatcher, trzecia córka Efraima i Elizabeth Thatcherów. Mój tata był kupcem z Toronto i powodziło mu się na tyle dobrze, że zapewniał dobrobyt całej naszej rodzinie. Właściwie to byliśmy uważani za klasę wyższą, a ja byłam przyzwyczajona do wszelkich korzyści materialnych, jakie się z owym statusem wiązały. Związek z tatą był dla mojej matki drugim małżeństwem. Pierwszy raz wyszła za mąż za kapitana armii królewskiej. Urodził im się syn, mój przyrodni brat, Jonathan. Pierwszy mąż mamy zginął, gdy Jonathan miał zaledwie trzy

lata. Dlatego też mama razem z synkiem wróciła do domu swojego ojca.

Moi rodzice poznali się podczas kolacji bożonarodzeniowej zorganizowanej przez wspólnych przyjaciół. Właśnie skończył jej się okres żałoby, aczkolwiek trudno jej było zdusić w sobie rozpacz i odłożyć ją na bok wraz z żałobnymi strojami. Często zastanawiałam się, co najbardziej przemówiło do mojego taty, piękno młodej wdowy czy jej ewidentna potrzeba, by ktoś ją pokochał i otoczył opieką. W każdym razie, zabiegał o jej względy i zdobył jej serce, po czym pobrali się w listopadzie następnego roku.

W kolejnym roku urodziła się moja najstarsza siostra, Margaret. Dwa lata później na świat przyszła Ruthie. Między moimi narodzinami a Ruthie mama straciła dziecko, chłopca, co prawie złamało jej serce. Obecnie myślę, że była rozczarowana tym, że nie przyszłam na świat jako chłopiec, ale z jakiegoś powodu to mnie wybrała, bym nosiła jej imię. Julie przyszła na świat dwa lata po mnie. Dwa i pół roku później, ku ogromnej radości mamy, urodził się nasz młodszy brat, Matthew. Nie mogę winić mamy za to, że hołubiła Matthew, bo dobrze wiem, że każdy z nas to robił. Wszyscy go rozpieszczaliśmy już od chwili jego narodzin.

W naszym domu niczego nie brakowało. Tata dobrze się o nas troszczył, a mama poświęcała wiele godzin na to, by jej dziewczynki wyrosły na prawdziwe damy. Oboje rodzice brali na siebie odpowiedzialność za nasz duchowy wzrost i – w stosownych granicach – zachęcali nas do bycia sobą.

Margaret wzięła już swoje własne gniazdko. Wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat i była zadowolona, że może całkowicie poświęcić się tworzeniu szczęśliwego domu dla swojego męża adwokata i ich małej rodziny. Ruth była uzdolniona muzycznie, stąd rodzice zachęcali ją do rozwijania talentu pianistycznego pod okiem najlepszych nauczycieli. Lecz kiedy poznała młodego, obiecującego skrzypka w Nowym Jorku i zdecydowała, że o wiele bardziej woli akompaniować jemu niż występować solo, rodzice dali jej swoje błogosławieństwo.

Mnie uważano za tę praktyczną, na której zawsze można było polegać. To mnie mama wzywała w przypadku nieszczęścia lub problemu, kiedy to nie było w domu taty. Polegała na tym, co zwykła nazywać moim opanowaniem i „przytomnością umysłu”. Już od najmłodszych lat zauważałam, że często zdawała się na mnie.

Myślę, że to właśnie moje praktyczne podejście przygotowało mnie do samodzielności i mając to na uwadze zaczęłam się szkolić, aby zostać nauczycielką. Wiedziałam, że mama uważała, iż atrakcyjna i uprzejma dama, na jaką mnie wychowała, nie potrzebuje zawodu; w końcu odpowiednie małżeństwo było dostępne na skinienie mojej pięknej główki w kierunku jakiegoś zalotnika. Nie komentowała jednak tego i nawet wspierała mnie w moich dążeniach.

Kochałam dzieci, więc wkroczyłam do sali lekcyjnej pewnie i radośnie. Uwielbiałam moich trzecioklasistów.

Moja siostra Julie była naszą lekkomyślną, poszukującą przygód romantyczką. Kochałam ją bardzo, ale często ubolewałam nad tą jej lekkomyślnością. Była ładna i drobnej

budowy, więc nie miała problemów z przyciągnięciem uwagi płci przeciwnej, ale jakoś nigdy nie było to dla niej wystarczające. Modliłam się za nią codziennie.

I nasz Matthew! Przypuszczam, że chyba tylko ja martwiłam się o niego tak często. Widziałam, co uczyniliśmy mu naszym folgowaniem i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie posunęliśmy się za daleko. Teraz był już nastolatkiem. Za bardzo go kochaliśmy, by narażać go na cierpienia z racji nadmiernej uwagi zgotowanej przez całą naszą nieostrożną rodzinę. Często spędzaliśmy czas we dwoje i próbowałam wyjaśnić mu, jakimi prawami rządzi się świat dorosłych. Na początku czułam, że nie docierają do niego moje delikatne sugestie, jednak potem zaczęłam dostrzegać, że zaczynają one pracować w jego umyśle. Stał się mniej roszczeniowy i bardziej pewny siebie, ale w dobrym znaczeniu, bardziej samodzielny. Żywiłam nadzieję, że mimo wszystko nie rozpieściliśmy go za bardzo. Wykazywał siłę charakteru, która przejawiała się w miłości i trosce o innych. Pomimo naszych wcześniejszych wychowawczych zaniedbań względem niego, z Matta wyrastał wspaniały, porządny młody człowiek.

Z porannej zadumy wyrwał mnie wyjątkowo piękny śpiew rudzika. Wydawał się tak radosny siadając na gałęzi wysoko nade mną, że serce oderwało się od rozmyślenia o rodzinie, by wraz z nim zaśpiewać króciutką pieśń.

Cóż – pomyślałam, kiedy nasz śpiew dobiegł końca – ów niepokój nie pojawia się dlatego, że nie doceniam łaski, jaką obdarzył mnie Bóg, ani dlatego, że nie kocham swojej rodziny. Poczucie winy częściowo mnie opuściło i poczułam się dużo lepiej dzięki szczerości, z jaką rozważyłam te kwestie.

Więc... – kontynuowałam – dlaczego czuję się niespokojna? Co się ze mną dzieje?

Wszystko jest w porządku – odpowiedziało mi wewnętrzne ja. – Nie jesteś ani niewdzięczna ani nieczuła, odczuwasz jednak pewien niepokój. To nie świadczy o tym, że czegoś ci brakuje. Oznacza to po prostu, że już czas na zmiany.

Czas na zmiany? Byłam tak zdumiona, jakby stwierdzenie to pochodziło od zupełnie nieznaney mi osoby.

Oczywiście. Jak myślisz, co sprowadza rudzika z powrotem w to miejsce każdej wiosny? Nie chodzi o to, że brakuje mu własnego gniazda czy pokarmu. On po prostu wie, że nadszedł czas, by zmienić miejsce pobytu.

Ale dokąd ja miałabym wyruszyć? Jak?

Kiedy nadejdzie właściwy czas, będziesz o tym wiedziała.

Ale nie jestem pewna, czy chcę...

Ciii...

Nigdy wcześniej nawet nie myślałam o tym, by coś zmieniać. Uważałam się raczej za domatorkę. Nie interesowałam się również zbyt mocno zamążpójściem. Przypuszczałam, że pewnego dnia gdzieś tam znajdzie się ktoś dla mnie, ale nie miałam zamiaru szukać go na własną rękę. Nie byłam też dotychczas pod szczególnym wrażeniem młodych mężczyzn, którzy chcieli mnie adorować. Niejednokrotnie grzecznie unikałam ich towarzystwa i przedstawiałam ich Julie. Ona również wydawała się zadowolona z takiego obrotu spraw i muszę ze wstydem przyznać, że niewiele obchodziły mnie uczucia tych młodzieńców.

A teraz niby nadszedł czas, bym coś w moim życiu zmieniła?

Niepokój przemienił się w zupełnie inne uczucie – strach. Jako osoba rozsądna, doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie jestem przygotowana do radzenia sobie z natłokiem tych nowych, nieznanych uczuć. Dlatego też wyrzuciłam je z głowy, weszłam do spokojnego, ceglanego budynku szkoły, następnie do mojej sali lekcyjnej, i celowo skupiłam wszystkie myśli na porannym ćwiczeniu ortografii. Jeden z moich uczniów, Robert Ackley, nadal miał z tym problemy. Próbowałam wszystkiego, co umiałam, by mu pomóc. Co jeszcze mogłabym zrobić?

Dzień minął w poważnym, nieznanym mi w takim stopniu skupieniu. Nigdy wcześniej nie poświęcałam się tak całkowicie lekcjom starając się, aby były interesujące i zrozumiałe dla moich uczniów. Pod koniec dnia byłam wyczerpana, więc postanowiłam tylko wytrzeć tablice i wrócić do domu. Zwykle spędzałam około godziny przygotowując się na następną dzień pracy, ale tym razem po prostu nie czułam się na siłach. Pośpiesznie oczyściłam gąbki z kurzu, wrzuciłam do torby kilka podręczników, porządnie zamknęłam za sobą drzwi od sali i opuściłam trzypiętrowy budynek.

Spacer do domu nieco mnie orzeźwił, spotkałam nawet rudzika, z którym śpiewałam tego ranka w duecie. Znowu czułam się sobą, gdy wchodziłam po frontowych schodach do naszego domu. Mama siedziała w przytulnej oranżerii i nalewała herbatę, którą przyniosła nasza służąca Martha. Nie wydawała się ani trochę zaskoczona, że wróciłam tak wcześnie.

– Odłóż kapelusz i dołącz do mnie – zawołała. Wyczułam w jej głosie nutkę podniecenia.

Położyłam mój lekki szal i kapelusz na stole w holu i zajęłam krzesło naprzeciwko niej. Czułam, że przyda mi się filiżanka mocnej, gorącej herbaty.

– Otrzymałam dziś list od Jonathana – oświadczyła mama wręczając mi filiżankę.

Przypuszczałam, że jej podekscytowanie związane było z tym listem, albo raczej wiadomościami, które zawierał.

Jonathan miał szczególne miejsce w sercu mamy. Będąc pierworodnym i jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa, był pod wieloma względami również jej pierwszą miłością. Julie sugerowała czasami, że matka kocha Jonathana bardziej niż którekolwiek z nas. Starłam się przekonać ją, że mama nie kocha go *bardziej*, lecz po prostu inaczej.

Często zastanawiałam się nad tym, jak trudne musiało być dla niej pogodzenie się z tym, że wyjechał. Jonathan miał zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy zdecydował, że chce wyruszyć na zachód. Miałam wtedy tylko cztery lata i byłam zbyt mała, by móc to wszystko w pełni zrozumieć. Jednak gdy go zabrakło, wiedziałam, że coś zmieniło się w naszym domu, w mamie. Choć bardzo się starała, by nie wpłynęło to na resztę rodziny. Trzy miesiące po wyjeździe Jonathana na świat przyszedł Matthew i życie mamy nabrało nowego sensu. Jednak nawet Matt nie był w stanie zająć w jej sercu miejsca Jonathana.

Teraz zaś siedziała naprzeciwko mnie, spokojnie nalewając herbatę, choć mogłam zauważyć, że w jej wnętrzu kłębiło się wiele emocji, a spokój zdecydowanie do nich nie należał. Niezależnie od tego, jakie wieści zawierał list od Jonathana,

czułam, że mama jest podekscytowana, a nie zaniepokojona, więc jej napięcie nie budziło we mnie lęku.

– Co u niego słysząc? – zapytałam, decydując się na umożliwienie mamie wyboru odpowiedniego momentu i słów, by dać wyraz swemu podekscytowaniu.

– Wszystko w porządku. Rodzina ma się dobrze. Mary czuje się świetnie. Już niedługo powinna urodzić. Tartak Jonathana prężnie się rozwija, w zeszłym miesiącu musiał zatrudnić kolejnego pracownika.

To wszystko brzmiało wspaniale. Cieszyłam się z sukcesów starszego brata, którego ledwie pamiętałam, ale czułam, że to nie te naprędce przedstawione wiadomości wpłynęły na obecny nastrój mamy. Wymamrotałam grzeczną odpowiedź, jak bardzo rada jestem ze szczęścia Jonathana i małymi łykami popijałam herbatę. Pragnęłam, by mama przeszła wreszcie do rzeczy.

Tymczasem ona nawet nie podniosła swojej filiżanki, tylko sięgnęła w zanadrze sukni i wyciągnęła najnowszy list od Jonathana. Wszyscy byliśmy przyzwyczajeni do tego, że za każdym razem, gdy przychodziła korespondencja od Jonathana, czytała ją kilkukrotnie, a następnie chowała z przodu sukni. Nosila ją tak przez wiele dni, wyciągała i czytała ponownie, kiedy tylko miała do tego sposobność.

Teraz ostrożnie rozłożyła list, ale zamiast, jak zwykle, dać mi go do przeczytania, sama zaczęła pośpiesznie czytać na głos. Szybko przeskoczyła przez pozdrowienia, jakby nie mogła się doczekać, by dotrzeć do sedna. Gdy kontynuowałam popijanie herbaty, słyszałam w jej głosie rosnące podniecenie. Nagle

zwolniła, a ja wiedziałam, że chce, abym usłyszała i zrozumiała każde przeczytane przez nią słowo.

– „Na zachodzie istnieje wiele możliwości. Znam kilku mężczyzn, którzy przybyli tu z niczym, a teraz mają wspaniałe domy i dobrze prosperujące biznesy. Wszystko, czego tu potrzeba, to determinacja, wytrwałość i odrobina zdrowego rozsądku”.

W pierwszym momencie pomyślałam: *Chyba nie chodzi o to, że mama chce nakłonić tatę do przeniesienia się na zachód?* Nie przerywałam jednak, a ona czytała dalej.

– „Ostatnio poświęciłem dużo myśli rodzinie. Dobrze byłoby mieć tu kogoś bliskiego. Tak bardzo mi was wszystkich brakuje. Szczególnie tęsknię za Tobą, mamo, ale Ty przecież doskonale o tym wiesz”.

– „Łatwo jest myśleć o zachodzie jak o terytorium dla mężczyzn, i tak rzeczywiście jest, ale mamy tu też wiele możliwości dla kobiet. I muszę dodać, że my, tu na zachodzie, w pełni zdajemy sobie sprawę, że jeśli mamy rosnąć w siłę, potrzebujemy dobrych, młodych dziewcząt, aby mogły stworzyć dom dla naszych mężczyzn i zapewnić odpowiednie warunki rodzinne dla naszej przyszłości”.

Musiałam chyba trochę się skrzywić słysząc te słowa, i pomyślałam: *Co za oziębły, wyrachowany sposób patrzenia na małżeństwo.* Matka jednak kontynuowała, a ja przegapiłam kilka jej słów.

– „...więc pomyślałem o Elizabeth”.

Poczułam zagmatwany napływ myśli w głowie. *Elizabeth? Czyli ja? Ale co? Sugeruje, że bym zapolowała na jakiegoś sklepiarza lub nieokrzesanego właściciela rancza z zachodu, by stać*

się jego żoną? To nie dla mnie! Nigdy! Przenigdy! Czułam, że wolałabym raczej umrzeć.

Krew odpłynęła mi z twarzy, gdy zaczęłam wstawać z krzesła.

– Nigdy – wyszeptałam do siebie. Mama zaś nie zwróciła uwagi na mój cichy szept i pospiesznie czytała dalej.

– „Nauczycielki są tutaj bardzo potrzebne. Wiele matek na wsi wciąż musi uczyć swoje dzieci w domu. Ale te kobiety mają za mało czasu i nie posiadają żadnego wykształcenia w tym kierunku. Chcemy to zmienić i pragniemy, aby nasze następne pokolenia były dobrze wykształcone, ponieważ w przyszłości mamy nadzieję wybrać przywódców naszej nowej prowincji spośród naszych własnych ludzi”.

– „Mówiłaś, że Elizabeth jest wspaniałą nauczycielką i rozsądną młodą kobietą – jestem pewien, że tak właśnie jest. Rozmawiałem dziś ze znajomym kuratorem i stwierdził, że brakuje mu nauczycielek, a niektóre z tych, które ma, najchętniej zastąpiłby nowymi. Powiedział mi, że gdyby Elizabeth zechciała przyjechać na zachód, to z wdzięcznością zaproponowałby jej stanowisko i, jak już wcześniej napisałem, marzę o tym, by mieć tu kogoś bliskiego, kogoś z rodziny”.

Oszołomiona patrzyłam, jak oczy matki dalej przebiegają po liście, lecz teraz czytała już w milczeniu. Odniosłam wrażenie, że zostałam zapomniana i że jej myśli znajdowały się przy ukochanym synu, gdzieś na zachodzie.

Byłam wdzięczna za tych kilka chwil, gdyż dzięki nim mogłam się trochę uspokoić, nim ponownie spojrzę mamie w oczy. Jonathan zaproponował mi, żebym udała się na zachód.

Ale po co? Zanim zasugerował możliwości nauczania, napisał, że potrzebują młodych kobiet do „zapewnienia odpowiednich warunków rodzinnych”. Cóż, w żadnym wypadku nie zamierzałam im w tym pomagać. Zdecydowanie nie!

Miałam nadzieję, że mama nie będzie zbyt surowa względem Jonathana, gdy będzie odpowiadać na jego list. Wiedziałam, że chciał dobrze, choć musiał wiedzieć, że nasza mama nigdy nie zgodzi się, by jej córka, pod pretekstem nauczania, wyruszyła w świat znaleźć sobie męża. *Nawet jeśli nie taka była intencja Jonathana – zastanawiałam się – i jeżeli po prostu szuka on dodatkowych nauczycielek, to ja mam już bardzo dobrą pracę tu na miejscu.*

Mama skończyła czytać dość długi list od Jonathana i znów schowała go w zanadrze sukni. Jej herbata już dawno wystygła, ale nie zważając na to, w zamyśleniu sięgnęła po filiżankę i popijała, patrząc gdzieś przed siebie. Gdy podniosła oczy znad filiżanki i spojrzała prosto na mnie, już chciałam powiedzieć coś w stylu: „Mamo, nie pozwól, by cię to zdenerwowało. Jonathan chciał dobrze, ale nie musisz się bać, nie mam zamiaru brać tego na poważnie...”

Spodziewałam się po niej łagodnej reprimendy względem Jonathana, ale zamiast tego powiedziała po prostu:

– Więc?

Uśmiechnęła się do mnie, a ja z łatwością wychwyciłam podekscytowanie w jej głosie.

Byłam zaskoczona i wzburzona.

– Co „więc”? – spytałam zastanawiając się, co może mieć na myśli. Nie mogłam pojąć zdumiewającej reakcji mamy na

tak niedorzeczną propozycję Jonathana. *Czy ona naprawdę uważa, że w ogóle rozważyłabym tę propozycję? Jak ona tak może? Na pewno musi zdawać sobie sprawę z tego, że to jest całkowicie...* I wtem pojęłam. Miałam być ofiarą złożoną przez mamę dla Jonathana, jego „częstką rodziny”, przekazaną mu na odległość. W pewien sposób mój wyjazd na zachód, aby być blisko niego, przyniósłby pocieszenie naszej mamie.

Kochałam ją. Była dobrą matką. Nigdy nie chciałam jej skrzywdzić. Nie odważyłam się dosadnie powiedzieć, że cały ten pomysł był z księżycą i że Jonathan wykazał się brakiem rozsądku proponując coś takiego. Lecz patrząc na mamę siedzącą naprzeciwko mnie ze swoim „więc?” wciąż tkwiącym w jej spojrzeniu, nie mogłam tak po prostu odmówić. Ale czy mogłam się zgodzić? Zdecydowanie nie. Mogłabym jednak powiedzieć, że rozważę tę propozycję, a tymczasem zyskam parę dni, by zastanowić się nad całą tą sprawą, uporządkować myśli i zaplanować, w jaki sposób wyplątać się z tej sytuacji tak, by nie urazić mamy.

– Cóż, jest to dla mnie ogromne zaskoczenie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy aby stąd wyjechać...

W myślach gorączkowo szukałam odpowiednich słów, które zatrzymałyby niepokój wkradający się do spojrzenia mamy. Siłą woli przejęłam kontrolę nad moim zdezorientowanym umysłem i pospieszyłam z wyjaśnieniami.

– Propozycja Jonathana brzmi interesująco, bardzo interesująco. – Próbowałam dodać do mojego głosu trochę entuzjazmu, ale było to niezwykle trudne, gdyż ciężko było mi wydobyć słowa przez zaciśnięte gardło.

Mama odprężyła się nieco, a jej oczy znów zaczęły błyszczeć. Niespodziewanie zdałam sobie sprawę, że rozbłysły od neuronionych łez, które się w nich pojawiły. Poczułam, że zaczynam panikować. *Nie mogłam* jej zawieść, przynajmniej nie w tej chwili. Próbowałam przełknąć ślinę i zmusiłam się do uśmiechu, odkładając kruchą porcelanową filiżankę.

– Zastanowię się nad tym i... zobaczymy...

Matka wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni. Uroniła kilka łez, które zwilżyły jej ciemne rzęsy i spłynęły na policzki.

– Beth – powiedziała – nie ma nikogo, kogo bardziej wolałabym wysłać do Jonathana niż ciebie.

Byłam wzruszona, ale i przestraszona. Z trudem przełknęłam ślinę, raz jeszcze spróbowałam się uśmiechnąć, wstałam z krzesła i składając lekki pocałunek na matczyne czoło wyszłam z oranżerii. Musiałam uciec gdzieś, gdzie będę mogła pomyśleć, pobyć sama. Cały mój świat wirował, a ja czułam, że jeśli nie przejmę wkrótce kontroli nad tym wszystkim, to w końcu wylecę gdzieś w kosmos.

Dla dobra mamy byłam skłonna *rozważyć* opcję stania się paczką wysłaną do Jonathana. Byłam nawet skłonna rozważyć podjęcie posady nauczycielki na zachodzie. Jednak stanowczo sprzeciwiałam się pomysłowi o poślubieniu jakiegoś nieokrzesanego, zaniedbanego mężczyzny z dziczy gdzieś na końcu kraju. Nigdy!

Wieczorem tata zapukał cicho do drzwi mojego pokoju. Próbowałam czytać leżąc w łóżku, co zazwyczaj sprawiało mi wiele radości, niestety losy młodych kobiet przedstawione na kartach powieści Jane Austen nie potrafiły przyciągnąć mojej uwagi.

Tata podszedł do okna i przyglądał się rozpościerającemu się za nim cichemu miastu. Lampy uliczne delikatnie migotały na tle zapadającej ciemności. Czekałam aż się odezwie. Nie zrobił tego, więc odłożyłam książkę, usiadłam i delikatnie zapytałam:

– Rozmawiałaś z mamą?

Odchrząknął i odwrócił się od okna. Nie odpowiedział na moje pytanie, tylko skinął głową.

– A co ty o tym myślisz? – spytałam z cichą nadzieją, że wykrzyknie, iż cały ten pomysł jest oburzający i nie do pomyslenia. Nie zrobił tego jednak.

– Cóż... – zaczął, stawiając krzesło przy moim łóżku – w pierwszej chwili byłem w szoku, ale po dłuższym zastanowieniu pojąłem, dlaczego twoja matka jest całym tym pomysłem tak bardzo podekscytowana. Wydaje mi się, że to może być dla ciebie niezwykła przygoda, Elizabeth, i sądzę, że nie wiąże się z nią zbyt duże ryzyko.

– Więc uważasz, że powinnam...

– Rozważyć to? Tak, powinnaś. Pojechać? Niekoniecznie. Decyzja należy do ciebie. Dobrze wiesz, że wszyscy cię tu kochamy i potrzebujemy, ale jeśli pragniesz tego... tego nowego doświadczenia, nie będziemy cię powstrzymywać.

– Nie wiem, tato. To wszystko jest takie świeże i niespodziewane. Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Elizabeth, wierzymy, że podejmiesz decyzję zgodną z twoim sercem. Wraz z mamą uzgodniliśmy, że uszanujemy twój wybór. Cokolwiek zdecydujesz, chcemy, aby to było to, co uznasz za słuszne. Mama oczywiście bardzo by chciała,

żebyś pojechała do Jonathana, ale jeśli ty tego nie zechcesz, nie będzie wywierać na ciebie presji. Prosiła mnie, żebym ci to przekazała. Obawia się, że twoja lojalność i chęć zadowolenia jej może doprowadzić cię do tego, że zrobisz to dla niej, a to nie jest wystarczający powód, aby podjąć tak ważną, zmieniającą życie decyzję.

– Och, tato! W tej chwili odczuwam tak wielki niepokój. Nigdy nie sądziłam, że...

– Nie spiesz się, moja droga. Taka decyzja wymaga dogłębnego rozważenia i modlitwy. Twoja matka i ja jesteśmy z tobą, cokolwiek zdecydujesz.

– Dziękuję, tato.

Pocałował mnie w czoło i uścisnął moją dłoń.

– Cokolwiek zdecydujesz... – wyszeptał wychodząc z mojego pokoju.

Nie było sensu wracać do czytania. Doskonale wiedziałam, że nie będę mogła skupić się na lekturze. Pociągnęłam więc za łańcuszek, żeby zgasić lampę i porozkładałam poduszki w taki sposób, by łatwiej było mi ułożyć się do snu. Niestety, na nic się to nie zdało, gdyż minęło sporo czasu, zanim byłam w stanie zasnąć.

Rozdział drugi

❖ *Pierwszy krok* ❖

Następnych kilka dni upłynęło mi na baczным wsłuchiwaniu się w głos serca. Byłam tak tym wszystkim przejęta, że czasami zastanawiałam się, czy rzeczywiście uczę moich trzecioklasistów. Wyglądało na to, że nie zauważyli we mnie żadnej różnicy, więc zgaduję, że przynajmniej mechanicznie wykonywałam wszystko tak jak trzeba.

Mama uczyniła jak obiecała, nie naciskała na mnie, ale czułam, że z niepokojem wyczekuje mojej decyzji. Wiedziałam, że też się modliła i miałam nadzieję, że naprawdę zostawiła to woli Boga, a nie tylko błagała Go, by skłonił mnie do wyjazdu.

Wahałam się, a było to dla mnie czymś niespotykanym. W jednej chwili myślałam o wszystkich bliskich mi osobach: o rodzinie, o moich uczniach, o przyjaciółach ze wspólnoty; w takich momentach wewnętrznie krzyczałam: „Nie mogę wyjechać, po prostu nie mogę!”. W następnej chwili myślałam o tej drugiej części mojej rodziny, mieszkającej na zachodzie.

Coś niewidzialnego przyciągało mnie do starszego brata, którego tak naprawdę nigdy nie znałam. Myślałam też o tych wszystkich dzieciach bez nauczycieli i wiedziałam, że one również pragną się uczyć. Myślałam nawet o wielkiej przygodzie, jaką ta niespodziewana okazja mogłaby ze sobą nieść i odkryłam, że zaczynam się zastanawiać: *A dlaczegoż by nie? Może to właśnie jest odpowiedź na owo uczucie niepokoju, które we mnie tkwi. Może jednak powinnam jechać...*

Moje emocje kołysały się z jednej strony na drugą, zupełnie jak wahadło w naszym stojącym zegarze.

Po porządnej dawce rozważań i modlitwy poczułam, że Pan Bóg wskazuje mi werset z Księgi Jozuego 1,9: *„Bądź mężny i mocny. Nie bój się i nie lękaj, ponieważ z tobą jest Pan, Bóg twój, wszędzie, gdziekolwiek pójdziesz”*.

Kilkukrotnie na głos powtórzyłam te słowa i poczułam, że odchodzi lęk i ogarnia mnie uczucie spokoju. Podjęłam decyzję. Wyjadę.

Gdy poinformowałam o tym mamę, nie posiadała się z radości i ekscytacji. Julie błagała rodziców, by pozwolili jej wyjechać ze mną. Kochałam Julie i byłam przekonana, iż niejednokrotnie będę żałować, że nie ma jej blisko mnie. Ale sama myśl o tym, że musiałabym ją nieustannie pilnować, w tej krainie pełnej mężczyzn szukających żony, przyprawiała mnie o dreszcze. Dlatego też odetchnęłam z ulgą, gdy rodzice natychmiast powiedzieli jej, że nie ma takiej możliwości.

Wraz z kolejnym miesiącem rok szkolny dobiegł końca. Pomachałam na pożegnanie ostatniemu uczniowi, spakowałam wszystkie swoje podręczniki i pomoce dydaktyczne, i po raz

ostatni zamknęłam za sobą drzwi sali lekcyjnej. Powstrzymując łzy wzruszenia, pożegnałam się z innymi nauczycielkami, po czym opuściłam szkolne progi bez oglądania się za siebie.

Dałam mamie przyzwolenie na przekazanie wieści o mojej decyzji Jonathanowi, a on wydawał się być z tego powodu niezmiernie uradowany. Wyraził mi to nawet bezpośrednio, gdyż napisał osobny list skierowany *do mnie*. Podniecenie mamy i Jonathana wydawało się być zaraźliwe, a moje pragnienie zobaczenia brata rosło z każdym dniem.

Jonathan przekazał wiadomość o moim przyjeździe kuratorowi, który również do mnie napisał. Pan Higgins (nazwisko w jakiś sposób odpowiadało mojemu wyobrażeniu o nim) zapewnił w nim, że rad jest z mojego przyjazdu na zachód i, jak napisał w swoim liście, zadba o to, bym została przydzielona do szkoły, którą uważał za odpowiednią dla mnie. Napomknął też, że bardzo chciałby się ze mną spotkać tuż po moim przyjeździe.

Dni wypełnione zakupami, pakowaniem i ostateczną wysyłką rzeczy, minęły mi bardzo szybko.

Jonathan powiedział, że wszystko, bez czego mogę się obejść, powinno zostać wysłane wcześniej. Wagony towarowe miały czasami tendencję do zjeżdżania na boczne tory w celu przeładunku, więc trasa zajmowała im więcej czasu niż wagonom osobowym. Zastanawiałam się jednak skrycie, czy nie był to ze strony Jonathana celowy zabieg – wysłane z wyprzedzeniem kufry byłyby gwarancją, że nie rozmyślałabym się w ostatniej chwili.

Coś takiego jak najbardziej mogło się wydarzyć. Kiedy

nadszedł dzień, w którym tata i ja przywieźliśmy kufry na stację towarową i przekazaliśmy je mężczyźnie za ladą, dotarło do mnie w pełni, że stawiam właśnie olbrzymi krok w nieznaną. Nieco oszołomiona przyglądałam się, jak ważono i oznaczano moje kufry, po czym wsadzono je na wózek i zabrano. W tych kufrach były moje książki, pościel, rzeczy osobiste i prawie cała moja garderoba. Wydawało mi się, że oto duża część mojego życia wytoczyła się wraz z tym wózkiem. Przez chwilę strach znów ścisnął mi gardło i poczułam impuls, by wyrwać się pędem, zebrać kufry z powrotem i pośpiesznie udać się do domu, do mojego pokoju. Jednak zamiast to uczynić, odwróciłam się szybko i prawie potknęłam się wychodząc pośpiesznie z budynku. Tata musiał się mocno natrudzić, aby mnie dogonić.

– A zatem ten etap mamy już za sobą – powiedziałam cicho. Starłam się, by zabrzmiało to tak, jakbym cieszyła się, że udało mi się odhaczyć jeszcze jedno zadanie z mojej wspaniałej listy. Myślę, że tata przejrzał mój blef, bo odpowiedział mi serdecznie, ale zupełnie zmieniając temat.

– Widziałem zachwycający kapelusik w tym eleganckim, małym sklepiku obok Eatons. Wyglądał jak skrojony pod ciebie. Może pójdziemy obejrzeć go razem?

Niektórzy mężczyźni zzymają się na myśl, że ktoś ich zobaczy w sklepie z kobiecą garderobą, jednak mój tata do nich nie należał. Być może miało to związek z faktem, iż miał cztery córki oraz atrakcyjną żonę. Tata lubił, kiedy jego kobiety były ładnie ubrane i czerpał przyjemność z pomagania nam w wyborze pięknych rzeczy. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę

z tego, że nowy kapelusz jest często najlepszym lekarstwem na kobiece smutki. Zwłaszcza w przypadku, gdy problemem było jedynie uczucie niepokoju i lęk przed nieznanym.

Uśmiechnęłam się do niego, doceniając jego wrażliwość na moje uczucia. Kto będzie o mnie dbał, gdy tata będzie daleko? Wzięłam go pod rękę i razem udaliśmy się do tego małego sklepiku.

Tatko miał rację. Kapelusz pasował idealnie; szmaragdowo-zielony aksamit idealnie współgrał z moimi ciemno-żółtawymi włosami i piwnymi oczami. Od razu mnie urzekł i bardzo się ucieszyłam, że tata go dla mnie wypatrzył. Gdy tylko go przymierzyłam, zdecydowałam, że będzie doskonały na przyjazd do Calgary. Kapelusz ten z pewnością doda mi pewności siebie, a przeczuwałam, że bardzo będę tego potrzebować.

Kiedy wracaliśmy do domu, ponownie pomyślałam o tym, jakim troskliwym mężczyzną jest mój tata. Wyciągnęłam rękę i położyłam ją na ramieniu jego perfekcyjnie skrojonego garnituru. Będę za nim tęsknić. Otarłam kilka łez chusteczką tłumacząc się niezdarnie, że to przez wiatr. Do mojego wyjazdu pozostał jeszcze tydzień. Miałam jeszcze czas na wzruszenia i bycie sentymentalną.

Rozdział trzeci

❖ *W drodze* ❖

Wierciłam się niespokojnie na wytartym skórzanym siedzeniu, chcąc poskromić rozdygotane nerwy i ogłuszające bicie serca. Już niedługo przybędę do Calgary. Sama nazwa, jej obce brzmienie, sprawiało, że moje tętno gwałtownie przyspieszało.

Lada chwila spotkam się z Jonathanem. W moich wspomnieniach zachował się tylko mglisty zarys wysokiej, szczupłej sylwetki młodzieńca obdarzonego silną wolą. Wkrótce też spotkam jego żonę, Mary, o której mówił, że jest najśodsza i najpiękniejszą kobietą pod słońcem. Zostanę również przedstawiona czwórce maluchów – trzem bratanicom i bratankowi. Przygotowałam się na to spotkanie kupując słodczyki podczas ostatniego postoju. Zaskarwienie sobie przychylności dzieci nie wydawało mi się niczym trudnym, obawiałam się jednak, czy brat i bratowa mnie polubią. Czy byłam gotowa, by wysiąść ze względnie bezpiecznego pociągu wprost do obcego, nowego świata?

Cztery wlekące się dni i noce spędzone na sztywnych i ciasnych siedzeniach pociągu Pacific Western stopniowo przygotowywały mnie na nową przygodę. W końcu udało mi się przewyciężyć ogromną tęsknotę za domem, lecz przez pierwsze trzy dni tak bardzo brakowało mi rodziny, iż obawiałam się, czy się nie rozchoruję. Stopniowo ból rozłąki ustępował, a w jego miejscu pozostawała jedynie pustka.

Kiedy opuścił mnie smutek, zaczęłam przejawiać zainteresowanie krajobrazem, który wydawał mi się zadziwiająco odmienny od tego, do czego przywykłam. Jonathan próbował opisać mi w listach tę krainę, lecz wtedy nie byłam w stanie wyobrazić sobie tej pustki, jałowości i bezkresu. Gdy wyglądałam przez okno pociągu, wydawało mi się, że podróżujemy od zawsze, prawie nie widując przez okna ludzi. Czasami mijaliśmy małe stadka zwierząt – antylop, jeleni, a nawet kilka bizonów wolno przemierzających prerię. Od czasu do czasu zwierzęta nawet spowalniały pociąg, gdy leniwie przekraczały żelazne tory.

Spodziewałam się zobaczyć rozsiane po całej okolicy indiańskie tipi. W rzeczywistości jednak widziałam bardzo niewiele Indian, prawie wszyscy zamieszkiwali małe miasteczka, przez które przejeżdżaliśmy, i wyglądali bardzo „cywilizowanie”. Nie dostrzegłam żadnych wojowników indiańskich z twarzami pokrytymi wojennymi malunkami. Większość Indian spokojnie poruszała się po ulicach, zajmując się handlem.

Zbliżając się coraz bardziej do przygranicznego Calgary, domu Jonathana i wielu innych żądnych przygód ludzi, zastanawiałam się, jak tam będzie. Czy będzie to miasteczko

cywilizowane? Gdy podjęłam decyzję o wyjeździe, Julie zaczęła czytać wszystko, co tylko mogła znaleźć na temat zachodu. Nigdy nie dowiedziałam się, skąd czerpała swoje informacje, ale o każdej porze dnia i nocy ogłaszała co rusz nowe, zebrane przez siebie „fakty”. Według niej zachód pełen był beztroskich, zuchwałych mężczyzn, tak chętnych do żeniaczki, że często dopuszczali się nawet uprowadzania kobiet. (Nie byłam przekonana co do tego, czy potępiała takie praktyki). Julie malowniczo opisywała kowbojów, traperów, górników i drwali – wszyscy w jej opowieściach przemierzali zakurzone ulice odziani w ubrudzone od podróży skóry i futra, szukając wrażeń, kobiet, bogactwa i niebezpieczeństwa, choć niekoniecznie w tej kolejności. I oczywiście Indianie – wszędzie Indianie. Choć większość z nich wydawała się obecnie nastawiona raczej pokojowo, Julie była pewna, że nie zawahaliby się kogoś oskalpować, jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja. Moja żywiołowa siostra ośmieliła się nawet wyszeptać sugestię, że powinnam rozważyć ścięcie włosów, żeby nie kusić ich swoją burzą gęstych loków. Ostrzegła mnie, że mogą uznać moje ciemnozłote pukle z rudymi refleksami za pokusę nie do odparcia.

Zapewniałam Julie, że zarówno skóra na mojej głowie, jak i moje bujne loki są jak najbardziej bezpieczne, lecz muszę przyznać, że kilka razy przyprawiła mnie o dreszcze swoimi opowieściami. Z powagą kiwała wtedy głową i informowała mnie, że prawdopodobnie mam rację, a wszystko to dzięki Północno-Zachodniej Policji Konnej. Według Julie, Calgary obfitowało w tych odzianych na czerwono rycerzy zachodu. Wystarczy, by kobieta będąca w tarapatach krzyknęła,

a mężczyźni w czerwonych mundurach przybędą na ratunek. Sądząc po błysku w oku Julie, kiedy mi o tym opowiadała, pewnie bardzo często korzystałaby z ich usług.

Moja siostra twierdziła również, że Calgary to kraina nieustannych zamieci śnieżnych. Podobno śnieg przestawał tam padać zaledwie na chwilę, aby umożliwić sporadyczne pojawienie się typowego dla Gór Skalistych suchego, ciepłego wiatru zwanego *chinook*, po czym znów wracały mroźne, obfite śnieżyce.

Konduktor ogłosił, że do Calgary pozostało zaledwie kilka minut drogi, a tego sierpniowego, upalnego popołudnia, kiedy promienie słońca padały na duszny wagon, zdałam sobie sprawę, że Julie myliła się przynajmniej w tej jednej kwestii – chyba że ten upał był zasługą *chinooka*. Mimo to nie mogłam przestać zastanawiać się, czy Julie nie myliła się również co do kilku innych „faktów”. Wkrótce wszystko się okaże. W zniecierpliwieniu wstałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem.

W wagonie naprawdę nie było zbyt wiele miejsca na spacer, a ja odniosłam wrażenie, że moje przechadzanie się po wąskim przejściu było irytujące dla niektórych pasażerów. Tych siedzących najbliżej mnie, obdarzyłam najśłodszym z możliwych uśmiechów i wyjaśniłam, że po tak wielu godzinach siedzenia po prostu muszę rozprostować nogi zanim dotrzemy do Calgary. Miałam nadzieję, że nie zauważą, że wstałam z miejsca przez nerwy, a nie sztywność mięśni.

Podeszłam do końca przejścia i prawie zderzyłam się z drzwiami, gdyż właśnie otwierał je powracający konduktor.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem, po czym wrócił do swoich obowiązków, do których należało wołanie donośnym głosem nazwy najbliższej stacji:

– Calgary! Calgary!

Przeszedł do następnego wagonu, ciągle wykrzykując.

Po jego nawoływaniu rozpoczynał się gwar działań: ludzie zbierali swoje rzeczy, żegnali się z nowo poznanymi towarzyszami, zakładali płaszcze lub szale i odłożone na bok czapki lub kapelusze. Posłużyłam się odbiciem w oknie wagonu, aby poprawić swój nowy zielony kapelusz.

Pociąg wydał z siebie długi, niski gwizd. Można było się zmęczyć samym myśleniem, ileż to pary potrzeba, by wydobyć taki dźwięk. Następnie dudnienie kół zaczęło zwalniać, aż do momentu, w którym – byłam przekonana – jeśli ktoś skoncentruje się wystarczająco mocno, będzie w stanie policzyć każdy ich obrót. Przejeżdżaliśmy teraz obok budynków rozsianych w pewnej odległości od siebie i wyglądających na dość nowe. Większość z nich była drewniana, a nie ceglana bądź z kamienia, jak to miało miejsce w moich rodzinnych stronach. Niektóre z tych najnowszych wykonano z piaskowca. Ulice nie były wybrukowane, ale zakurzone i ruchliwe. Mężczyźni i, na szczęście, również gdzieś tam kobiety, poruszali się po nich w wielkim pośpiechu. Pociąg zatrzymał się gwałtownie na stacji, wydając ze swojego żelaznego wnętrza głośny, przypominający ogromne westchnienie syk oznajmiający, że długa podróż nareszcie dobiegła końca. Ja też westchnęłam wstając i zbierając swoje rzeczy z siedzenia, gdzie schludnie je

wcześniej poukładałam. Kroczek po kroczku, kierując się do wyjścia wraz z licznymi współpasażerami, nie mogłam oderwać oczu od okien i tego, co znajdowało się za nimi. To wszystko było takie nowe, takie inne. Z ulgą zauważyłam wielu czekających w tłumie mężczyzn ubranych w eleganckie biznesowe garnitury. Dawało mi to pewnego rodzaju pocieszenie, że nie wszyscy mieszkańcy zachodu byli awanturnikami i szorstkimi w obyciu poszukiwaczami przygód.

Wtem niespodziewanie z tłumu wyłonili się dwaj mężczyźni ubrani w czerwone mundury i filcowe kapelusze z szerokim rondem. To byli funkcjonariusze Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, o których wspominała mi Julie! Uśmiechnęłam się na samą myśl, jak podekscytowana by była, widząc ich tu teraz! Ich chód zdawał się bardzo dostojny, ludzie kiwali im głową na przywitanie, jednocześnie automatycznie rozstępując się przed nimi z szacunkiem. Pochyliłam się lekko, aby móc lepiej się im przyjrzeć przez okno wagonu, lecz natychmiast zostałam szturchnięta od tyłu paczką wsuniętą pod ramię nieprzyjaźnie wyglądającego mężczyzny z cygarem w ustach. Wyprostowałam się szybko zarumieniona, nie mając wystarczającej odwagi, by spojrzeć mu w oczy.

Kiedy wreszcie nadeszła moja kolej, ostrożnie wychodziłam z pociągu, wdzięczna konduktorowi za pomoc przy bagażach. Powoli stawiając kroki na stopniach, spotkałam się wzrokiem z uśmiechniętymi oczami prawie obcego mi człowieka, jednakże podświadomie wiedziałam, że to Jonathan. Bez chwili wahania upuściłam tobołki i rzuciłam mu się na szyję.

Rozdział czwarty

❖ *Calgary* ❖

Pomimo dobrego wychowania nie mogłam powstrzymać się od ciekawskiego spoglądania na wszystko, co mijaliśmy podczas drogi do domu Jonathana. Nigdy w życiu nie widziałam takiego miasta jak Calgary! Na zakurzonej ulicy kowboje na koniach sprawnie manewrowali między pojazdami a pieszymi. Dwie damy z gracją podniosły swoje długie spódnice szybko przechodząc przez ulicę tuż przed nami. Był też prawdziwy Indianin, w ciemnym płaszczu i eleganckim kapeluszu, z długim warkoczem zwisającym na plecach! Desperacko starałam się nie dać po sobie poznać, jak bardzo mnie to wszystko fascynuje, ale najwyraźniej nie do końca mi się to udało.

Jonathan zachichotał.

– Calgary to istne widowisko, nieprawdaż?

Gdy rumieniec wkładał się powoli na moje policzki, mój brat uprzejmie odwrócił wzrok na drogę, by nie zawstydząć

mnie jeszcze bardziej. Nie mieszkał aż tak długo na zachodzie, by zapomnieć, że dama nie powinna się gapić.

– Wiesz, że mieszkam tu już prawie szesnaście lat i nadal nie mogę uwierzyć w to, co się tu dzieje? – powiedział Jonathan rzeczowo. – Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy jadę tymi ulicami, pojawia się nowy budynek. Kojarzy mi się to z dzieciństwem w święta Bożego Narodzenia. Gdy kładłem się wieczorem spać, salon wyglądał zupełnie zwyczajnie, a gdy tylko budziłem się rano, pojawiało się tam pięknie przystrojone drzewko obwieszane wstążkami, bombkami oraz błyszczącymi świeczkami. To było magiczne! Nic dziwnego, że dzieci tak łatwo wierzą w bajki. A tu jest prawie jak w bajce, zgodzisz się ze mną, Elizabeth?

Byłam zbyt oczarowana, by móc cokolwiek powiedzieć, więc tylko przytaknęłam. Odwróciłam głowę, by zerknąć na drogę za nami. Po opuszczeniu centrum Calgary stopniowo zmierzałyśmy pod górę. Dom Jonathana musiał znajdować się gdzieś na wzgórzu, nie zaś w dolinie obok rzeki.

Spoglądając za siebie, widziałam zabudowania Calgary rozciągające się wzdłuż płaskiej doliny. W wielu miejscach lśniła odbijająca popołudniowe słońce woda. Z podziwem spoglądałam na tę scenerię i w końcu dałam radę się odezwać.

– Ta rzeka chyba wije się tu wszędzie. Gdziekolwiek spojrzę, dostrzegam kolejne rozgałęzienia.

Jonathan zaśmiał się w odpowiedzi na moje słowa.

– Są tam *dwie* rzeki, które łączą się ze sobą. Nazywają się Bow i Elbow¹.

¹ ang. bow – łuk lub kokarda, elbow – łokieć (przyp. red.)

– Niezwykłe nazwy jak dla rzek.

– Tak. Na zachodzie istnieje wiele dziwnych nazw.

Uśmiechnęłam się.

– Cóż, na wschodzie też mamy ich wiele – stwierdziłam.

Jonathan przytaknął, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Potrafiłam sobie wyobrazić, nazwy takie jak Trois-Rivieres i Cap-de-la-Madelaine, które pewnie przelatywały mu teraz przez głowę².

– Opowiedz mi o Calgary. – Nie mogłam się doczekać, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym intrygującym mieście.

Jonathan obdarzył mnie pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Od czego by tu zacząć? – zastanawiał się na głos. – Calgary zostało założone jako fort dla Północno-Zachodniej Policji Konnej w 1875 roku, wcale nie tak dawno temu. Najpierw nazywało się Fort Brisebois, ale Macleod, dowódca, chyba nie przepadał za tą nazwą, bo zmienił ją na Fort Calgary – to galickie słowo oznaczające czystą, bieżącą wodę – na cześć swojego rodzinnego miasta w Szkocji.

– Czysta, bieżąca woda – powtórzyłam. – Podoba mi się. Idealnie tu pasuje.

Spojrzałam jeszcze raz na fragmenty rzek, które błyszczały między budynkami i drzewami gęsto porastającymi dolinę.

– Po wybudowaniu linii kolejowej w 1883 roku ludzie zaczęli poważnie rozważać osiedlanie się na zachodzie – kontynuował Jonathan. – O wiele łatwiej było załadować swoje rzeczy do pociągu, niż przemierzać ląd wozem. A dzięki pociągom

² fr. trzy rzeki; peleryna Magdaleny (przyyp.red.)

kobiety mogły zabrać ze sobą trochę tych mniej potrzebnych rzeczy, ulubionych bibelotów, które wcześniej musiały zostawić. Na początku na zachód przybywali poszukiwacze przygód oraz oportuniści, i choć wielu takich nadal tu przyjeżdża, z czasem zaczęli się też pojawiać porządni mężczyźni i kobiety, przyjeżdżający tu z nadzieją, że uda im się zadomowić na tej nowej ziemi.

– Lecz i tak nie było to łatwe, prawda? – zapytałam.

– Na szczęście dla nas, Kanadyjska Królewska Policja Konna działała tu zanim jeszcze przyjechała większość osadników. Nowi mieszkańcy mieli przynajmniej prawo, do którego mogli się odwoływać, jeżeli tylko pojawiała się potrzeba – a potrzeba taka występowała często. Indianie zauważyli, że można zaufać czerwonym mundurom i że człowiek łamiący prawo, bez względu na kolor skóry, zostanie postawiony przed sądem. Policja pomaga, by zarówno Calgary jak i teren wokoło miasta były miejscem bezpiecznym dla kobiet i dzieci.

– To zupełnie nie przypomina zachodu, o którym mówiła mi Julie.

– Och, nie zaprzeczam, że zdarzały się utarczki, ale były one nieliczne i Północno-Zachodnia Policja Konna była w stanie dość szybko przywrócić porządek.

– Czy Indianie byli aż *tacy* problematyczni? – zapytałam zastanawiając się, czy Julie jednak miała w tej kwestii rację.

– Indianie? Nie, nie obwiniałbym Indian. Większość kłopotów przysparzali wytwórcy i handlarze wodą ognistą.

– Wodą ognistą?

– Whisky. Choć w sumie nie można było tego nazwać

whisky. Częściej było to określane jako bimber albo samogon. Podstawą był alkohol, ale bimbrownicy wrzucali, co tylko mogli, by nadać mu smak i kolor, na przykład pieprz albo tytoń. Nie wiem, jak ktokolwiek mógł pić to paskudztwo, ale niektórzy wojownicy indiańscy sprzedawali futra, konie – czasem nawet swoje kobiety – tylko po to, by zdobyć kilka butelek.

– To straszne!

– Zrujnowało to wielu wspaniałych młodych Indian. Czasami zagrażało nawet całym plemionom. Niektórzy z wodzów dostrzegali niebezpieczeństwo i nienawidzili tego świństwa, ale trudno było im zapanować nad każdym z osobna. Alkohol to zło wcielone! Prawdziwa hańba dla białych ludzi, którzy sprzedawali go kosztem zmarnowanego ludzkiego życia. – Jonathan potrząsnął głową. Widziałam, że sprawa handlu nielegalnym alkoholem była dla niego bolesna.

– W każdym razie – kontynuował uśmiechając się – Północno-Zachodnia Policja Konna była niezwykle zorganizowana. Pomimo ogromnych trudności dotarła na zachód i od razu przystąpiła do pracy. Ich pierwszym dużym zadaniem było oczyszczenie fortu Whoop-Up³.

– Whoop-Up – zachichotałam. – To jeszcze dziwniejsza nazwa niż Elbow. Czy to gdzieś tu w pobliżu?

– To miejsce już nie istnieje. Znajdowało się w południowej części Alberty, około sześciu mil od dzisiejszego Lethbridge. Podobno działały się tam takie rzeczy, że włosy dęba stają. Rządził tam stary Johnny Healy, a za swoją podłgą miksturę mógł

³ ang. balowanie, hałaśliwa zabawa (przyp.red.)

kupić, co tylko chciał. Za kubek swojej whisky był w stanie dostać najlepszą skórę z bizona. Stary Johnny stał się bogatym człowiekiem. Zebrał grupę łotrów składającą się z przemytników, bandziorów, oszustów i innych elementów. Zbudowali mały fort i nikt nie wie dokładnie, ilu ich tam mieszkało. Szacunki były bardzo różne, w każdym razie, było ich *zbyt* wielu. Czasami posuwali się za daleko, sami pili tę swoją whisky i siali spustoszenie. To część bandziorów w końcu położyła kres całej tej sprawie. Dowodził nimi człowiek, który kiedyś w przeszłości znienawidził Indian. Niejednokrotnie okazywał im wrogość. Kiedy kilku indiańskich wojowników ukradło jego konie, nie wystarczyło mu jedynie odzyskanie zwierząt. Wykorzystał tę sytuację jako pretekst do wszczęcia strzelaniny. On i jego ludzie zamordowali kilkunastu Indian w miejscu zwanym Cypress Hills. Nie obchodziło ich, że ci Indianie nie byli nawet z tego samego plemienia, co tamci złodzieje koni.

– I nic z tym nie zrobiono?

– Wieści dotarły na wschód, wraz z pilnym apelem do premiera, Sir Johna A. McDonalda. Przyspieszył on organizację nowych oddziałów policji i wysłał je tam najszybciej, jak to było możliwe. To dlatego Północno-Zachodnia Policja Konna przybyła na zachód.

– By przywrócić tu sprawiedliwość, prawo i porządek?

– Dokładnie tak! Od początku wiedzieli, co mają robić. Jednym z ich zadań było zdobycie zaufania i szacunku Indian. Po tym, co dotąd działo się między Indianami a białymi, możesz sobie wyobrazić, że zadanie to nie należało do łatwych. Ale udało im się. Biali przestępcy zostali postawieni przed sądem,

a Indianie zaczęli widzieć, że mają przyjaciół w policji odzianej w czerwone mundury.

– Motto nowej policji brzmiało: „Stać na straży prawa”. Długo i ciężko pracowali, by to osiągnąć.

– A Indianie nauczyli się ich akceptować? – zapytałam.

– Chyba Czerwona Wrona, przywódca plemienia Czarnych Stóp, to przypieczętował, podpisując traktat w 1877 roku. Ten mądry i sprytny staruszek mówił wtedy o Macleodzie, że złożył on wiele obietnic i *dotrzymał* ich wszystkich. Ale to samo można było powiedzieć o wielu innych dowódcach policji.

Siedziałam bez ruchu, z ciekawością wsłuchując się w opowieść Jonathana. Ach, co to by było, gdyby Julie była tu teraz i słyszała te historie? Dzięki tym wszystkim romantycznym wyobrażeniom, którymi wypełniła umysł, mdlałaby pewnie na samą myśl o spotkaniu jednego z wielkich bohaterów zachodu, przystrojonych w czerwień! Nawet ja – z moim praktycznym podejściem do życia – byłam poruszona opowieścią o powstaniu Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej i jej rolę w historii Kanady. Z pewnością wiele kobiet i mężczyzn, właściwie cały naród miał wobec nich ogromny dług wdzięczności. Dodałam w myślach swoje podziękowania do tej długiej listy, po czym szybko wróciłam do terażniejszości, rada pozostawić Północno-Zachodnią Policję Konną na kartach historii, gdzie jej miejsce.

– Daleko jeszcze? – zapytałam Jonathana.

– Muszę się do czegoś przyznać – odpowiedział z błyskiem w oku. – Zabrałem cię trasą malowniczą. Mogliśmy być w domu już kilka minut temu, ale nie mogłem się doczekać, by pokazać ci nasze... – Zatrzymał się w połowie zdania i spojrział

na mnie z troską. – Pewnie jesteś zmęczona. Obawiam się, że mój entuzjazm był nie na miejscu.

– Och, nie. Nic mi nie jest. Naprawdę mi się podobało – zapewniłam go szybko. – To wszystko jest tak nowe i tak inne, że jestem...

– Jeszcze tylko jedna rzecz i już jedziemy do domu. Pewnie i tak mi się oberwie od Mary. Ona i dzieci tak czekają, by cię poznać.

Dotarliśmy na szczyt wzgórza, a tam przed nami rozpościerał się najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądałam. W drodze do Calgary dostrzegałam przełyski gór, ale panorama znajdująca się teraz przede mną była wprost nie do opisania. Góry wydawały się na tyle blisko, że można było poczuć powiew rzeńskiego powietrza i świeżość wiatru. Nie byłam w stanie się odezwać. Siedziałam, patrzyłam i cieszyłam się każdą minutą w tym miejscu. Jonathan był zadowolony z mojej reakcji. Kochał góry. To się dało wyczuć.

– To jest powód – powiedział w końcu – dla którego nigdy nie chciałbym opuszczać zachodu.

– Tu jest tak pięknie, że brak mi słów – udało mi się powiedzieć, a radość tryskała ze mnie niczym krystaliczna woda z fontanny. Życ, spacerować i pracować w cieniu tych zachwycających gór było czymś więcej, niż kiedykolwiek mogłam sobie zamarzyć. W moim sercu zrodziła się krótka modlitwa: *Dziękuję Ci Boże za to, co niespodziewane. Dziękuję za wypchnięcie mnie z mojego bezpiecznego gniazda.*

Tymczasem Jonathan zawrócił samochód i zaczął zjeżdżać w dół wzgórza, z powrotem do miasta.

Rozdział piąty

❧ *Rodzina* ❧

Gdy zajechaliśmy pod dom Jonathana, Mary czekała już przy drzwiach i gdy wychodziłam z auta, wybiegła na spotkanie ze mną. Nim zdążyłam właściwie postawić nogi na ziemi, przyciągnęła mnie do siebie w ciepłym uścisku. Bardzo ucieszyłam się z tego entuzjastycznego przyjęcia i od razu poczułam, że jestem wśród bliskich.

Przyglądałam się uważnie kobiecie będącej żoną Jonathana, a moją bratową. Miała bujne rudo-brązowe włosy, upięte luźno do góry, a pojedyncze kręcone kosmyki opadały na jej twarz i szyję, nadając jej dziewczęcego wyglądu. Jej zielone oczy błyszczały wesoło, a usta układały się w pełen ciepła uśmiech, który z radością odwzajemniłam.

– Och, Elizabeth – wykrzyknęła – tak się cieszę, że mogę cię poznać!

– I wzajemnie, Mary – odpowiedziałam. – Wyglądasz dokładnie tak, jak opisywał Jonathan.

Zaprowadziła mnie pospiesznie do domu, by przedstawić mnie dzieciom, podczas gdy Jonathan zajął się moimi bagażami.

Przeszliśmy przez główny korytarz i tylnymi drzwiami wyszliśmy na zacienione podwórze wypełnione radosnymi okrzykami małych pociech. To były moje bratanice i bratanek. Od razu podbiegli do mnie, nie wstydząc się ani nie krępując. Wyglądało na to, że uważali przybycie cioci za wielkie wydarzenie.

Kiedy Mary udało się przywrócić porządek, przedstawiono mi każde z dzieci.

William, najstarszy z gromadki – wyglądający zupełnie jak Jonathan, z tą różnicą, że jego włosy miały rudawy odcień, który odziedziczył po Mary – miał osiem lat. Sześcioletnia Sara była drobna i delikatna. Gdyby którekolwiek z potomstwa Jonathanana można uznać za nieśmiałe, to właśnie ją. Kolejna była czteroletnia Kathleen. Ta czterolatka zachowywała się bardziej jak chłopiec niż jak dziewczynka. Jej intensywnie niebieskie oczy błyszczały figlarnie, a na małej twarzyczce wiecznie królował szeroki uśmiech. Mała Elizabeth, nazwana na cześć mojej mamy, dopiero niedawno dołączyła do rodziny i była za ma lutka, by wziąć udział w radosnych powitaniach. Przespała całe zamieszanie związane z moim przyjazdem.

Po szybkim oprowadzeniu mnie po domu podano wieczorny posiłek, na który zebraliśmy się wokół stołu. Jonathan uważał, że cała rodzina powinna być razem o tej szczególnej porze dnia, więc maluchy dołączyły do nas przy stole. Kiedy patrzyłam, jak wdrapują się na krzesła, zastanawiałam się, co mama pomyślałaby o takich zwyczajach. W naszym domu

nawet te spokojne i dobrze wychowane dzieci nie towarzyszyły dorosłym przy stole, dopóki nie skończyły dwunastu, a najwcześniej dziesięciu lat.

Pomimo swej żywiołowości dzieci Jonathana zachowywały się przy stole bardzo grzecznie, a my, dorośli, mogliśmy rozmawiać bez potrzeby przerywania z racji dziecięcych wybuchów. Oczywistym było, że zostali dobrze poinstruowani, jak mają się sprawować. *Może to rozsądne uczyć je za młodu, jak zachowywać się podczas obiadu przy rodzinnym stole* – doszłam do wniosku obserwując dzieci. Kiedy przyglądałam się Kathleen, zastanawiałam się, jak długo uda jej się siedzieć sztywno przy stole jak mała dama. Wyglądała jak miniaturowy wulkan, który zaraz wybuchnie.

Posiłek, podany przez pokojówkę o imieniu Stacy, był wprost przepyszny. Byłam zakłopotana ilością jedzenia, które pochłaniałam. Jonathan zapewnił mnie, że rześkie powietrze tak wpływa na apetyt, a ja cieszyłam się, że mam na co zrzucić winę.

– Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać te kilka dni wcześniej – powiedziała Mary.

– Mam teraz okazję poznać cię bliżej zanim rozpoczniesz pracę. Chcemy pokazać ci okolicę i... – dodała mrugając okiem – pochwalić się tobą.

Uśmiechnęłam się do niej.

– W rzeczy samej – droczył się Jonathan. – Mam całą listę młodych mężczyzn czekających, by cię poznać. W końcu pogubiłem się, który z nich zgłosił się jako pierwszy. Powiedziałem im, że będą musieli po prostu poczekać na swoją kolej, ale obawiam się...

Policzki zaczęły mnie palić. Przerwałam Jonathanowi, zanim zdążył kontynuować.

– Cieszę się, że będę mogła poznać twoich przyjaciół – oświadczyłam stanowczo – ale chcę wyjaśnić jedną rzecz: przyjechałam na zachód, by *uczyć*, a nie by *wyjść za mąż*. Gdybym była zainteresowana małżeństwem, mogłabym zostać na wschodzie i znaleźć odpowiedniego kandydata. Julie, która, nawiasem mówiąc, jest naszym rodzinnym ekspertem w tej dziedzinie, zapewniała mnie, że mężczyźni z zachodu są poszukującymi przygód awanturnikami, o szorstkim i hałaśliwym usposobieniu. Nie wiem, czy jej wiedza w tym temacie jest całkowicie wiarygodna, ale nie mam zamiaru sprawdzać tego na własnej skórze. Jeśli chcesz znaleźć żonę dla jednego ze swoich przyjaciół, lepiej sprowadź tu Julie. Chętnie rozważy taką możliwość. Ja? Nigdy!

Moja wypowiedź okazała się dość długa, a twarze słuchaczy zmieniały się powoli z niedowierzania, poprzez troskę, do rozbawienia. Kiedy skończyłam, dostrzegłam, że Jonathan ukradkiem spojrział na Mary, aby zobaczyć, czy uważa, że mówię poważnie. Ona dała mu ledwie widoczny sygnał skinieniem głowy, a on zrozumiał jej potwierdzenie. Odchrząknął i odczekał chwilę.

– Widzę – powiedział powoli – że nie powinniśmy się z tobą tak droczyć. Tutaj często zapominamy o manierach, które tak bardzo nasze mamy starały się w nas zaszczepić. Żartujemy i dokuczamy sobie cały czas. Pomaga nam to radzić sobie z codziennymi problemami, w przeciwnym razie niejednokrotnie byłoby nam ciężko. – Oczywiście nie mamy zamiaru

cię z nikim swatać – dodał z powagą – ale nawet teraz mógłbym przedstawić ci tuzin prawych, zadbanych, dobrze wychowanych dżentelmenów, przy których twoi wschodni modnisie wypadliby blado. Nie zrobię tego jednak – dodał pośpiesznie – żeby moje intencje nie zostały źle odebrane.

Dokładnie wiedziałam, co miał na myśli i ze wstydem zdałam sobie sprawę, że zasługuję na tę łagodną naganę za mój nietakt i złe maniery. Cała krew odpłynęła mi z twarzy i wiedziałam, że powinnam przeprosić za mój wybuch, ale nie mogłam precyzyjnie sformułować słów przez zaciśnięte gardło.

Jonathan zachichotał, a dźwięk jego delikatnego śmiechu złagodził napięcie przy stole.

– Obiecuję ci, siostrzyczko – powiedział z udawaną powagą – nie będę starał się znaleźć ci męża, jeśli nie masz na to ochoty. Ale patrząc na ciebie powiedziałbym, że będziesz musiała określić swoje stanowisko w tej kwestii jeszcze niejednemu młodzieńcowi.

Mary zdawała się zgadzać z Jonathanem. Nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się, a ciepło jej gestu niosło ze sobą aprobatę dla wyglądu szwagierki.

Znowu się zarumieniłam. Byłam gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za powtarzanie, że nie przyjechałam tu znaleźć męża, tyle razy, ile tylko będzie trzeba.

– Zdarzało mi się mówić to już wcześniej – rzekłam spokojnie – jestem w stanie powiedzieć to jeszcze nie raz.

– Kiedy dorosnę, wyjdę za mąż za Dee – wtrącił się cienki głosik.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, nawet ja, choć nie miałam najmniejszego pojęcia, kim był Dee.

Gdy Mary wycierała łzy spowodowane śmiechem, starała się wytłumaczyć mi, o kogo chodzi.

– Dee to nasz bardzo drogi przyjaciel. Ma już prawie trzydziestkę i jest tak samo zdeterminowany jak ty, moja droga, by pozostać bezzennym.

– On jest *moim* przyjacielem – nalegała Kathleen.

– Oczywiście, że jest, kochanie. A teraz dokończ obiad.

Kiedy wstaliśmy od stołu, zalała mnie fala zmęczenia. Zastanawiałam się, czy będę w stanie nie zasnąć, gdy Mary pójdzie położyć dzieci.

Było jeszcze wcześniej, a ja wiedziałam, że nie wypada prosić o pokazanie pokoju, w którym miałam się zatrzymać, jednak bardzo teraz tego pragnęłam. Na szczęście Jonathan to zauważył.

– Pewnie padasz ze zmęczenia. Może pójdziesz się wykąpać i położysz się wcześniej? Nigdy nie mogłem porządnie się wyspać w tych dudniących pociągach. Zmiana czasu też robi swoje. Na wschodzie jest teraz późna pora.

Przyznałam, że byłam strasznie zmęczona.

– No to zmykaj – nalegał. – Drzwi do twojego pokoju to te pierwsze po prawej na szczycie schodów. Łazienka znajduje się tuż obok. Jestem przekonany, że po tak długiej podróży odpoczynek w wannie dobrze ci zrobi. Twoje rzeczy czekają już na ciebie w pokoju. Idę teraz pomodlić się z dziećmi i powiem Mary, że poszłaś odpocząć. Ona na pewno to zrozumie. Przed nami jeszcze mnóstwo czasu, by się sobą nacieszyć.

Podziękowałam i weszłam po schodach. Nie mogłam się doczekać, aż wślizgnę się do tej wanny. Miałam szczerą nadzieję, że znajdę w sobie jeszcze wystarczająco dużo energii, by potem przejść z łazienki do łóżka.

Wkrótce będę musiała napisać do mamy i opowiedzieć jej wszystko o pięknym domu Jonathana i jego uroczej rodzinie. Widać było, że dobrze mu tu na zachodzie. Mama byłaby dumna. Jonathan zawsze bardzo skromnie opisywał w listach swoje życie, ale ja nie miałam żadnych zahamowań, by zdać mamie wyczerpującą relację.

Dom Jonathana był wspaniałym trzypiętrowym budynkiem z czerwonej cegły i wieloma oknami szczytowymi oraz wykuszami, a całość była kunsztownie wykończona drewnem pomalowanym na biało.

Wnętrze było przestronne i gustowne, wyposażone w meble sprowadzone ze wschodu. Podłogi przykrywały kolorowe dywany, a okna przystrojone były bogato zdobionymi zasłonami. Tylko w gabinecie Jonathana widać było unikalny wpływ zachodu. Znajdowały się tam imponujących rozmiarów meble wykonane lokalnie. Do ściany przytwierdzone zostały łby zwierząt. Przed kominkiem rozciągał się dywanik ze skóry niedźwiedzia, a kanapę przykrywała skóra bizona.

Jednakże list musiał jeszcze trochę poczekać, bo dzisiejszego wieczoru byłam zbyt zmęczona, by nawet rozważyć jego pisanie – marzyłam tylko o łóżku. Jutro... cóż, jutro miałam nadzieję, że uda mi się jeszcze raz przyjrzeć tym cudownym górcom. Spróbuję opowiedzieć o nich mojej rodzinie ze wschodu,

ale wiedziałam, że cokolwiek powiem, nigdy nie oddam pełni ich piękna.

Rozdział szósty

❖ *Zapoznanie* ❖

Wyglądało na to, że Jonathan i Mary równie bardzo chcieli pokazać mi wszystko, jak i wszystkim pokazać mnie. Nigdy tak pracowicie nie spędziłam dziesięciu dni jak po przyjeździe do Calgary. Miałam wrażenie, że ciągle zmieniam suknię na kolejną okazję. Muszę jednak przyznać, że było to bardzo ekscytujące i obawiam się, że takie życie mogłoby mi się spodobać.

Przyjechałam w piątek i Jon (odkryłam, że wolał być nazywany Jon, na co przystałam, choć szkoda mi było zrezygnować z tak pięknego imienia jak Jonathan na rzecz tak prostego jak Jon), w każdym razie, Jon i Mary zdecydowali, że po długiej podróży pociągiem potrzebuję całej soboty na odpoczynek. Nie odpoczywałam jednak zbyt długo, bo musiałam rozpakować ubrania na czas pobytu. Większą część dnia spędziłam na praniu i prasowaniu swoich rzeczy.

Udało mi się lepiej poznać mojego bratanka i bratanice, ponieważ wszędzie, gdzie się udawałam, oni chodzili za mną krok w krok. To było rozkoszne.

William skończył już drugą klasę, czym wzbudzał szacunek swoich sióstr. Sara nieśmiało prosiła go: „William, pokaż mi, William, powiedz mi, William, wytłumacz mi”. Chłopiec przystawał na błagania siostry, a jego poczucie własnej wartości można było dostrzec w orzechowych oczach pod burzą rudawych włosów.

Kathleen była taka kochana. Jej twarzyczka aż iskrzyła figlarnością, gdy rozmawiała ze mną i obserwowała wszystko, co robiłam. Widać było, że Jon i Mary byli rodzicami, którzy kierowali swoimi dziećmi i sprawowali nad nimi kontrolę rodzicielską, ponieważ nawet energiczna i towarzyska Kathleen starała się zachowywać powściągliwie, chociaż po jej oczach można było poznać, jaką trudność stanowiło dla niej powstrzymanie wybuchów entuzjazmu.

Gdy rozpakowałam szmaragdowo-zieloną, aksamitną suknię z bibuły, w którą przed podróżą ją starannie owinęłam, oczy Kathleen nabrały szczególnego blasku, a jedna rączka uniosła się, by dotknąć miękkiego aksamitu. Dziewczynka szybko się jednak opamiętała i ukryła obie ręce za plecami, gdzie były bezpieczne od pokusy. Jej spojrzenie szukało mojego wzroku i wyrażało skruchę za to, co prawie ośmieliła się zrobić. Wkrótce jednak wypełniło się delikatnym pytaniem.

– Czy to jest mięciutkie jak kurczaczek? – zapytała prawie szeptem.

– A wiesz – odpowiedziałam szczerze – że nigdy nie miałam okazji dotykać małych kurczaczków?

– Nigdy? – Zrobiła wielkie oczy, a ja wiedziałam, że nie może w to uwierzyć. Niedowierzenie przemieniło się zaraz w szczerą współczucie.

– Powiem o tym tacie – oznajmiła rzeczowym tonem, w którym brzmiała pewność i wiedziałam, że jej tata zatroszczy się o moją ewidentną potrzebę.

– A ty trzymałaś kiedyś kurczaczka? – zapytałam.

– Oczywiście.

– Więc dotknij tej sukni i powiedz mi, czy są podobne w dotyku.

Spojrzała na mnie uważnie, a jej wielkie oczy wyrażały wątpliwość, czy mówię poważnie. Przysunęłam suknię bliżej, żeby zapewnić ją, że nie ma się czego obawiać. Powoli wyciągnęła jedną rączkę, ale zatrzymała się w połowie drogi, a jej oczy spotkały się z moimi.

– O-o – powiedziała ostrzegawczo do siebie i zwróciła obie dłonie wewnętrzną stroną ku górze. – Lepiej najpierw je umyję.

– Dla mnie wyglądają na czyste.

Wzruszyła ramionami.

– I tak lepiej je umyję. Mama mówi, że niektórych brudów nie znać, nie widzieć... – Szukała właściwego słowa.

– Nie widać?

– Tak.

Kathleen wybiegła niezwłocznie z pokoju i szybciotko wróciła. W pośpiechu zamoczyła sobie sukienkę, a ręce, o które tak się martwiła, były jeszcze wilgotne w miejscach, gdzie nie dała

ręcznikowi szansy spełnić swojego zadania. Skończyła je osu-
szać wycierając je w górę i w dół o boki swojego ubrania, jed-
nocześnie zbliżając się powoli do aksamitnej sukni. Przystanęła
na chwilę, podziwiając jej rozłożystość. Następnie wyciągnęła
dłoń i dotknęła materiału. Mała rączka delikatnie głaskała su-
kienkę, ostrożnie muskając ją tylko w jednym kierunku.

– Tak – szepnęła – w dotyku przypomina też małego kotka.
Przyciągnęłam Kathleen do siebie.

– W takim razie kurczaczki muszą być przyjemne w do-
tyku, bo głaskałam już małe kotki, więc wiem, jakie to miłe
uczucie. A wiesz, co jest najprzyjemniejsze?

Odchyliła głowę do tyłu i uważnie przyjrzała się mo-
jej twarzy.

– Mali ludzie – powiedziałam delikatnie.

– Czyli chłopcy i... i dziewczynki?

– Tak, chłopcy i dziewczynki.

Zachichotała, a potem zarzuciła mi ręce na szyję i mocno
się do mnie przytuliła. Ze wzruszeniem przełknęłam ślinę. Jak
wspaniale jest trzymać w ramionach dziecko, kochać je bezgra-
nicznie i czuć, że ta miłość jest odwzajemniona.

Gdy Sara zawołała na lunch, Kathleen rozluźniła uścisk.

– Mama pewnie powie, żebym umyła ręce, a ja już je umy-
łam! – Bardzo się ucieszyła, że będzie mogła uniknąć wykona-
nia polecenia. Wychodząc z pokoju, zaczęła podskakiwać. Nie
była jeszcze wystarczająco duża, by zawsze się pohamować i za-
chowywać właściwie. Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła.

– Dziękuję, ciociu Beth – powiedziała. Wysłała mi buzia-
ka, którego odwzajemniłam, i szybko zniknęła za drzwiami.

Kilka minut później rzeczywiście zebraliśmy się na lunch. Sara potrzebowała chwili, by zlokalizować Williama, który właśnie wspinał się na drzewo z sąsiadem, więc musieliśmy poczekać z jedzeniem. Chłopiec został delikatnie skarcony i wysłany, aby się umyć i zmienić koszulę, która rozdarła się na jednym z rękawów. Szybciutko pojawił się ponownie. Jego świeża koszula była dobrze zapięta, ale niedokładnie włożona w spodnie. Twarz i ręce miał wyszorowane, choć łatwo można było dostrzec linię wody na brodzie. Mary obdarzyła go wyrozumiałym uśmiechem i zaprosiła do stołu. Wtedy też podano posiłek.

– Po lunchu chcę, żebyście pobawili się na zewnątrz, *na naszym podwórku* – powiedziała Mary, patrząc znacząco na Williama. – Ciocia Beth może mieć ochotę na drzemkę.

– Och, nie – pospieszyłam z tłumaczeniem. – Nadal nie skończyłam porządkować ubrań.

Podczas wypowiedzania tych słów, zdałam sobie sprawę, jak bardzo chciałabym się na chwilę zdrzemnąć.

– Mała Lizbeth jeszcze sypia w dzień – powiedziała poważnie Kathleen. Czułam, że jest dumna z tego, że ona nie musi już spać w ciągu dnia.

– Och, mała Elizabeth jest szczęściarą – powiedziała Mary. Domyśliłam się, że było wiele dni, kiedy sama z chęcią zwinęłaby się w kłębek i ucięłaby sobie drzemkę, gdyby tylko miała taką możliwość.

Kathleen nie spierała się z mamą, choć z jej spojrzenia można było wyczytać, że nie zgadzała się z tymi słowami.

Następnego ranka w domu panował rozgardiasz, ponieważ przygotowaliśmy się do uczestnictwa w niedzielnym

nabożeństwie. Gdy układałam włosy, Kathleen zapukała nieśmiało do drzwi. Przyszła, by się pokazać. Wyglądała jak z obrazka. Ładne ubranie i staranne uczesanie podkreślały jej dziecięcą urodę. Gdy gładziła koronkę na swojej sukience bez rękawków założonej na odświętną bluzkę, widać było, jak błyszczą jej oczy.

– Podoba ci się?

– Jest śliczna.

– Mama mi uszyła.

– Naprawdę?

– Tak – skinęła głową.

– Jest piękna. Twoja mama jest bardzo dobrą krawcową.

– Tata też tak mówi.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Ty też ładnie wyglądasz. Uszyłaś sobie tę sukienkę?

Pokręciłam przecząco głową, myśląc o sklepie w Toronto, gdzie ją kupiłam.

– Nie – odpowiedziałam. – Uszyła ją Madame Tanier.

– Och, ona też jest dobrą krawcową – powiedziała uroczyście Kathleen.

Uśmiechnęłam się, myśląc o Madame i jej cenach. Tak, ona też była dobrą krawcową.

Budynek kościoła był nowy, choć nie tak duży jak ten, do którego chodziłam w Toronto. Ludzie byli przyjaźni i szybko poczułam się tam jak w domu, zwłaszcza że jestem siostrą Jona. Widać było, że wszyscy traktowali tu jego i Mary z wielkim szacunkiem.

Usiadłam pomiędzy Williamem a Sarą. Chłopiec z trudnością powstrzymywał się od wiercenia. Przesuwał się raz w jed-

na, raz w drugą stronę, machał jedną nogą, potem drugą, zaciskał pięści, po czym je rozluźniał. Bardzo mu współczułam. Kathleen równie ciężko było usiedzieć w miejscu, jak Williamowi. Sara zaś siedziała cichutko. W pewnym momencie, gdy stanęliśmy, by zaśpiewać pieśń, wsunęła rączkę w moją dłoń. Uścisnęłam ją czule i uśmiechnęłam się do niej, a wtedy przytuliła się do mnie jak mały szczeniaczek.

Po zakończeniu nabożeństwa zostałam przedstawiona różnym osobom. Wspólnota składała się głównie z młodych par, choć zauważyłam też kilku samotnych mężczyzn. Doceniałam fakt, że Jon nie poprowadził mnie w ich stronę. Zostawił mnie z Mary i kilkoma jej przyjaciółkami, a sam poszedł przywitać się z kawalerami.

Pastor, jego żona i czwórka ich dzieci zostali zaproszeni do Jona i Mary na niedzielny obiad. Wielebny Dickson przybył na zachód trzy lata temu. Podczas obiadu nie chciał mówić o niczym innym jak tylko o zachodzie i sypał jak z rękawa opowieściami gloryfikującymi wielkie rzeczy, które działy się wszędzie dokoła. Pani Dickson z kolei chętnie rozmawiała o wszystkim, co tylko dotyczyło ich rodzinnych stron na wschodzie. Podczas rozmowy czułam się jak piłka tenisowa.

Następnego dnia Jon i Mary zaprosili na kolację pana Higginsa, szkolnego kuratora okręgowego.

Bardzo chciałam poznać pana Higginsa i dowiedzieć się czegoś więcej o mojej nowej szkole, ale czułam się też tym bardzo zestresowana. A co jeśli pomyśli, że nie jestem właściwą osobą do wykonywania tej pracy? Człowiek, na którego barkach spoczywała taka wielka odpowiedzialność i który

sumiennie poszukiwał odpowiednich nauczycieli dla swoich szkół, mógł być bardzo wybredny w kwestii tego, kogo wybrać na poszczególne wakaty.

Wyobrażałam sobie pana Higginsa jako raczej powściągliwego, wykształconego mężczyznę, może łysiejącego i trochę przy tuszy, starannie ubranego, być może srogię. Jego postura, sposób bycia, wygląd mówiłyby o powadze, z jaką traktował swoje obowiązki.

Kiedy Sara zawołała, że pan Higgins właśnie przybył, pośpieszyłam do salonu, zatrzymując się na chwilę przy drzwiach, aby uspokoić nerwy przed tym ważnym spotkaniem. Nie byłam jednak gotowa na to, co miałam zaraz zobaczyć.

Muszę przyznać, że na początku rozglądałam się po pokoju w poszukiwaniu trzeciej osoby. Dżentelmen, który śmiał się i żartował z Jonem, nie był, to znaczy, przecież *nie mógł być*, kuratorem okręgowym. Jednak gdy mój wzrok ogarniał pokój, Jon odwrócił się i przedstawił swojego gościa jako pana Higginsa.

Mężczyzna był raczej młody – przypuszczam, że miał około trzydziestu pięciu lat. Nie był zadbany ani dostojny, ani też srogi. Jego wygląd i sposób mówienia wskazywały, że był raczej niechlujny, głośny, arogancki i zuchwały. Nie były to cechy, które ceniłam w ludziach.

Sumienie szybko przypomniało mi, że nie powinno się oceniać nikogo na podstawie pierwszego wrażenia. Trudno było mi się grzecznie uśmiechnąć i wyciągnąć rękę na powitanie, zrobiłam to jednak. Higgins prawie połamał mi palce, gdy zakleszczył moją delikatną dłoń w hojnym, męskim uścisku.

– Witam, witam! – huknął.

Nie powiedział, że miło mu było mnie poznać, ale miałam takie wrażenie, gdyż jego oczy beztrzesko lustrowały moją twarz i sylwetkę. Wydawało mi się, że podoba mu się to, na co patrzy, bo ciągle się we mnie wgapiał. Poczułam, że zaczynam się rumienić. Na szczęście Jon przyszedł mi na ratunek.

– Usiądźmy – powiedział. – Jestem pewien, że panna Thatcher chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o naszych lokalnych szkołach.

W myślach dziękowałam Jonowi, że posłużył się moim nazwiskiem, by nadać temu spotkaniu formalny wydźwięk. Może to pomoże utrzymać temperament pana Higginsa na wodzy.

– Tak, bardzo interesuje mnie wszystko, co dotyczy szkół z tego obszaru, a w szczególności tej, w której będę uczyć – zgodziłam się z Jonem.

– Później! – huknął Higgins. – Nie lubię psuć sobie obiadu gadaniem o sprawach tak przyziemnych jak praca.

Zaśmiał się z tego, co jego zdaniem było dowcipne i zwrócił się do mnie z pytaniem o moje wrażenia dotyczące zachodu. Sądząc po tonie jego głosu, z łatwością mogłam stwierdzić, że nie ma nic, co mogłoby się w jakikolwiek sposób równać z *jego* zachodem. Odpowiedziałam, że jestem tu na tyle krótko, że nie miałam jeszcze okazji wyrobić sobie zdania. Nie byłam pewna, czy zaakceptował moje stanowisko w tej kwestii. Wyczułam, że według niego człowiek nie powinien potrzebować czasu, aby wyraźnie dostrzec wyższość zachodu nad innymi miejscami. Jednak, zamiast się ze mną sprzeczać, zaproponował coś w stylu „oprowadzenia mnie po okolicy”. Z pomocą

ponownie przybył mi Jonathan, kierując rozmowę na inne tematy. Niedługo potem Mary oświadczyła, że podano do stołu.

Pieczeń wołowa była pyszna. Chętnie bym się nią delektowała, gdyby nie pan Higgins. Przez jego zuchwałe śledzenie każdego mojego ruchu czułam się tak zdenerwowana, że z trudnością trafiałam widelcem do buzi. Nigdy wcześniej nie spotkałam takiego człowieka, a pod względem mentalnym muszę przyznać, że okazał się prawdziwym nudziarzem. Był tak nadęty i przekonany o wyższości swych opinii, że przejął kontrolę nad całą rozmową. Moje pierwsze wrażenie było słuszne: kurator, pan Higgins, zupełnie nie przypadł mi do gustu. Miałam nadzieję, że nie wszyscy mężczyźni na zachodzie są tacy jak ten człowiek.

W ogóle nie rozmawialiśmy o systemie szkolnictwa, chociaż wydawało się, że siedział u Jona godzinami zanim w końcu rozsądek podpowiedział mu, że czas się pożegnać i udać do domu. Gdy przygotowywał się do wyjścia, zapytał, czy może odwiedzić mnie ponownie.

– Cóż – odpowiedziałam, mając nadzieję, że zrozumie ton mojego głosu – musimy porozmawiać o szkole, w której mam uczyć. Chciałabym też dowiedzieć się, czego będę potrzebowała. Niestety nie było *czasu* na taką rozmowę.

Zarechotał, jakby uznał moją odpowiedź za uroczą i mocno uścisnął mi rękę, gdy mu ją podałam na pożegnanie. Odsunęłam się, gdy tylko uwolnił moją dłoń.

– Do zobaczenia w środę – powiedział i puścił do mnie oko. Byłam zszokowana jego bezczelnym gestem i zaskoczona głośno wciągnęłam powietrze. Nie zauważył tego. Wrzasnął

tylko „dobrej nocy!”, tak głośno, że aż przestraszyłam się, czy nie obudził śpiących dzieci, a potem odszedł pogwizdując.

– Ktoś powinien poślubić tego mężczyznę i nauczyć go manier – powiedziała łagodnie Mary.

Potrząsnęłam głową i powiedziałam:

– Tu trzeba dużo więcej wysiłku niż tylko nauki dobrych manier. Żadnej kobiecie nie życzyłabym takiego zadania.

We wtorek Jon zdecydował, że powinnam przejść się po sklepach w Calgary, więc podwiózł mnie do centrum i udał się do swojego biura. Mary planowała nam towarzyszyć, ale Williama bolało ucho, więc musiała z nim zostać.

Sklepy zdecydowanie różniły się od tych, do których przywykłam. Nie dostrzegłam żadnego, który mógł równać się z butikiem Madame Tanier, ale uznałam je wszystkie za naprawdę interesujące. W tej chwili bardzo żałowałam, że nie ma ze mną Julie. Razem świetnie byśmy się bawiły.

Jon obiecał, że spotka się ze mną na lunch w pobliskim hotelu. Gdy zbliżała się dwunasta, poczułam głód. Postanowiłam udać się do wskazanej przez niego wcześniej sali restauracyjnej. Kiedy szłam chodnikiem, czułam na sobie wiele podążających za mną spojrzeń. Powodowało to nieprzyjemny ścisk w żołądku. Może w Calgary damie nie wypadało spacerować samotnie po ulicach miasta. Koniecznie muszę zapytać o to Jonathana. Przyspieszyłam kroku.

Ulice Calgary tętniły różnorodnością. Oprócz biznesmenów w ciemnych garniturach można było też spotkać farmerów, ranczerów, Indian i zwykłych spacerowiczów. Wstrzymałam oddech i przeszłam pośpiesznie obok czterech podejrzanie

wyglądających osobników, którzy podpierali witrynę sklepu z narzędziami. Słyszałam ich niewybredne komentarze i salwy śmiechu, ale nie chciałam wiedzieć, czy dotyczą one mnie, więc nie skupiałam się na tym, co mówili.

Gdy na dziesięć minut przed wyznaczonym czasem dotarłam do hotelowej restauracji, Jon już na mnie czekał.

– Nie chciałem, żebyś przyszła przede mną i musiała stać tu sama – powiedział. Głęboko doceniałam jego troskę.

Zaprowadzono nas do stolika, a gdy przechodziliśmy przez salę, Jon witał się z wieloma znajomymi. Przy niektórych z nich przystawał i mnie przedstawiał, innym tylko kłaniał się lekko, wypowiadając przy tym ich nazwiska. Zaczęłam dostrzegać w tym pewną prawidłowość. Kiedy Jon zatrzymywał się, by mnie przedstawić, robił to w przypadku pary bądź żonatych mężczyzn. Jon przedstawiał mi pana takiego a takiego, który z żoną i dziećmi mieszkał na tej lub innej ulicy albo prowadził tę lub inną firmę. Panowie, których omijał, najwyraźniej byli kawalerami. Jon dotrzymywał danego mi słowa i nie starał się mnie z nikim zeswatać. Na samą myśl o tych oczywistych staraniach, by spełnić moją prośbę, na mojej twarzy zagościł uśmiech.

Siadając widziałam i czułam kierowane w moją stronę spojrzenia. Odłożyłam rękawiczki, torebkę i uśmiechnęłam się do brata. Miałam nadzieję, że dzięki udawaniu spokojnej poczuję się mniej zdenerwowana. Metoda ta działała przynajmniej częściowo. Jon pokierował rozmową i wkrótce poczułam się całkiem zrelaksowana, nawet w tym nieznanym mi otoczeniu. Przywiązywałam się do mojego brata. Nic dziwnego, że mama

tak go ubóstwia. Bardzo bym chciała, żeby mogła zobaczyć go tu, w tym mieście, z jego uroczą żoną i dobrze wychowanymi dziećmi, oraz z jego prestiżową pozycją wśród lokalnej społeczności. Byłaby z niego taka dumna. Ja też czułam się dumna siedząc naprzeciw niego, co na chwilę pomogło mi zapomnieć o utkwionych we mnie spojrzeniach.

– Tak przy okazji – zaczął ostrożnie – twoje ubrania są śliczne. Mary też tak uważa. Ale Mary, chociaż ci ich zazdrości, to... no cóż, zasugerowała, żebym ci taktownie zwrócił uwagę, że może powinnaś wyposażyć się w kilka nieco bardziej praktycznych sukien, odpowiednich do pracy w szkole. Nasze sale lekcyjne nie są aż tak eleganckie i... cóż, nie jestem dobry w aluzjach, więc...

Zaśmiałam się. Jon wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

– Uff! Cieszę się, że tak to przyjęłaś – powiedział. – Nie byłem pewien, czy nie będziesz zła albo urażona. Po prostu nie jestem dobry w owijaniu w bawełnę. Ale Mary *ma* rację, twoje modne ubrania wyglądają cudownie, ale nie są zbyt praktyczne w tych stronach.

Urzekła mnie szczerłość i serdeczność Jona. Zdałam sobie sprawę, że on i Mary mieli rację; to właśnie miłość skłoniła ich do zaproponowania mi zmiany garderoby.

– Zobaczą, co uda mi się znaleźć – obiecałam, gdy podano nam jedzenie. – Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy to niestosowne, żeby kobieta spacerowała samotnie po ulicach Calgary?

– Dlaczego? Nie spotkałaś dzisiaj żadnej damy?

– Rzeczywiście. Spotkałam nawet kilka, ale...

Jon zmarszczył brwi.

– Cóż, po prostu czułam się trochę nie na miejscu. Gdziekolwiek poszłam, ludzie się za mną oglądali.

Jon obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

– Ludzie czy mężczyźni?

Zarumieniłam się. Nie było potrzeby ciągnięcia dalej tego tematu.

Jonathan zasugerował mi kilka sklepów, w których mogłabym znaleźć strój odpowiedni dla nauczycielki z zachodu, i obiecał, że spotka się ze mną o piętnastej, by odwieźć mnie do domu. Na początku myślałam, że zakup rzeczy, które na pierwszy rzut oka wydawały mi się szarobure i niemodne nie sprawi mi przyjemności, ale gdy bardziej się im przyjrzałam, tym bardziej zaczęły mi się podobać i ostatecznie zakupy sprawiły mi ogromną radość. Po raz kolejny dzisiejszego dnia żałowałam, że nie ma ze mną Julie. Zamieniłaby chodzenie po sklepach we wspaniałą okazję do zabawy.

Znalazłam kilka prostych bawełnianych sukien, które łatwo można będzie uprać i wyprasować, oraz kilka sztuk bielizny bez dużej ilości koronek. Kupiłam nawet grube pończochy, choć muszę przyznać, że zrobiłam to jedynie ze względów praktycznych, bo jeśli chodzi o wygląd, w ogóle mi się nie podobały. Poprosiłam sprzedawcę, by spakował moje zakupy i sprawdziłam godzinę. Było już po piętnastej. Wybiegłam pośpiesznie ze sklepu, obawiając się, że Jon może już na mnie czekać.

Stał niedaleko, a jego szerokie plecy były zwrócone w moim kierunku. Pospieszyłam do niego i dopiero wtedy zauważyłam, że rozmawia z jakimś mężczyzną. Zawahałam się. Czy

powinnam dać mu znać, że jestem tuż za nim na wypadek, gdyby spieszył się do domu, czy lepiej poczekać, aż skończy rozmawiać?

Trochę się przesunęli i teraz dopiero mogłam zobaczyć dżentelmena, z którym rozmawiał Jon. Był trochę wyższy od mojego brata, który i tak jest naprawdę wysokim mężczyzną. Kapelusz z szerokim rondem przysłaniał mu oczy, ale zauważyłam silną, choć nie przerysowaną szczękę i kształtny nos. Wyglądał schludnie i elegancko, choć na pewno nigdy nie uznano by go za „lwa salonowego”. Posiadał tę trudną do zdefiniowania męską surowość, która sugerowała pewność siebie i umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Rozmawiając z Jonem uśmiechnął się pogodnie, a ja wyobraziłam sobie, że musi być życzliwy i mieć poczucie humoru.

Poruszyłam się lekko, co musiało przykuć jego uwagę, bo podniósł głowę, a to z kolei spowodowało, że Jon się odwrócił.

– Zaraz przyjdę, Beth – zawołał i serdecznie uściśnął dłoń nieznajomego. – Pozdrów od nas Phillipa – powiedział Jon położywszy rękę na plecach mężczyzny. W zamian otrzymał przyjacielskie klepięcie w ramię, a potem nieznajomy odwrócił się do mnie. Ukłonił się lekko, unosząc przy tym kapelusz, co pozwoliło mi spojrzeć w jego w oczy. Były intensywnie niebieskie i zdecydowane. Miały w sobie też błysk humoru, mimo że jego usta się nie poruszyły. Przyłapałam się na tym, że pragnę zobaczyć, jak się uśmiecha, tak naprawdę. Ale zanim mogłam w jakikolwiek sposób go do tego zachęcić własnym uśmiechem, znajomy Jona odwrócił się i odszedł.

Nie mogłam zrozumieć tego dziwnego uczucia, które się we mnie pojawiło. Nagle chciałam, żeby Jon złamał swoje zasady i przedstawił mnie temu człowiekowi. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam, by jakikolwiek mężczyzna tak bardzo mnie zainteresował. Stałam w bezruchu, wpatrując się w niego jak zaklęta.

– Przyjaciel? – wykrztusiłam, a potem zarumieniłam się. Na pewno Jon uznał mnie za głuptasa, bo przecież każdy by zauważył, że byli przyjaciółmi.

– Tak.

To wszystko, co powiedział mój brat. Nie podał imienia ani nazwiska tego człowieka, nie zdradził też, skąd pochodzi. Zdecydowałam, że nie będę ciągnęła go za język.

Następnego dnia pan Higgins pojawił się kilka minut po drugiej. Miałam nadzieję, że jest gotów porozmawiać o pracy, ale zamiast tego chciał zabrać mnie na przejażdżkę. Niechętnie przystałam na jego propozycję. Cała ta sytuacja była irytująca i cieszyłam się na myśl, że byłam tego wieczoru umówiona na kolację. Stanowiło to idealny pretekst, żeby szybciej odwiózł mnie do domu, bo przecież muszę się przygotować na wieczór.

Naciskałam go w kwestii szkoły, w której miałam uczyć, ale powiedział, że nadal nie podjął decyzji. Przypomniałam mu, że powinnam wkrótce otrzymać od niego tę informację, abym mogła poczynić odpowiednie przygotowania. On jednak wciąż unikał tego tematu. Zauważyłam, że do rozpoczęcia zajęć pozostał tylko tydzień. Odpowiedział, że w ciągu jednego tygodnia wiele się może wydarzyć, po czym wybuchnął gromkim śmiechem. Nie chciałam dłużej rozwijać tej kwestii.

Odprowadził mnie do drzwi i zauważył, że popołudnie minęło w mgnieniu oka. Zapytał, czy możemy się spotkać w piątek. Czując się bezsilna odpowiedziałam, że skoro chcę poznać swoje plany na przyszłość, to muszę też się z nim spotkać. Ścisnął mi dłoń, poufale położył mi rękę na ramieniu.

– Och, mam pewne plany, moja droga – powiedział. – Mam plany wobec ciebie.

Ależ ma tupet, pomyślałam wchodząc po schodach do swojego pokoju. Nigdy nie spotkałam równie okropnego człowieka. I pomyśleć, że jestem w sytuacji, w której jest on moim pracodawcą! Miałam nadzieję, że nasze obowiązki rzadko będą się ze sobą krzyżować, doprowadzając do jakiegokolwiek kontaktu.

Nagle wróciłam pamięcią do przyjaciela Jona. *Jaka szkoda, że to on nie okazał się panem Higginsem*, pomyślałam, ale od razu skarciłam się za takie myśli. Jakże nierozsądnie było nawet rozważać coś takiego! Zaskoczyła mnie intensywność moich uczuć. Widziałam tego człowieka raz, i to tylko przez chwilę. Dlaczego miałby mieć na mnie taki wpływ? Tego akurat nie wiedziałam, ale te niebieskie, uśmiechnięte oczy towarzyszyły mi, gdy otwierałam drzwi do swojego pokoju. Z wielkim trudem wypchnęłam z umysłu obraz twarzy nieznanego i skoncentrowałam się na wyborze sukni na zbliżający się wieczór.

Rozdział siódmy

❖ *Plan pana Higginsa* ❖

Gdy w piątek o jedenastej czytałam Sarze i Kathleen książkę, niespodziewanie pojawił się pan Higgins. Byłam zupełnie nieprzygotowana na tak wczesną wizytę. Niegrzecznie wprosił się do domu i oświadczył, że jedziemy na piknik. Miał ze sobą koszyk piknikowy jako dowód, że wszystko zostało już na tę okazję przygotowane. Próbowałam wykrztusić z siebie słowa odmowy, lecz przerwał mi jego śmiech.

– Nie zaprzataj sobie niczym tej pięknej główki. Wiem, że cię zaskoczyłem, ale każdy ci powie, że jestem pełen niespodzianek.

Uważał, że komentarze innych dotyczące jego nieobliczalności są wielkim komplementem.

Złapał mnie za rękę i pociągnął na równe nogi, nie pozwalając nawet skończyć połowy ostatniej strony.

– Chodźże, no chodź – powiedział. – Pikniki nie lubią czekać.

– Ja lubię pikniki – z nadzieją w głosie oświadczyła Kathleen.

– I pewnego dnia twoja ciocia i ja zabierzemy cię ze sobą. Ale nie dziś. Dzisiaj jest dzień na piknik tylko we *dwoje*. – Odwrócił się do mnie i puścił oko.

– A teraz pędź, moja droga, i załóż coś bardziej odpowiedniego na piknik – spojrzał na moje wytworne pantofle. – Zwłaszcza jeśli chodzi o obuwie – dodał. – Te cienkie kapciuszki ledwo nadają się na spacer na zewnątrz, a my potrzebujemy ciszy i spokoju, by omówić twoją przyszłość.

Pośpieszyłam na górę, by się przebrać, przez cały czas mamrocząc pod nosem pogrózki w jego kierunku. Wybrałam najprostszą z sukien, które kupiłam w Calgary, ale z całego serca żałowałam, że nie mam nic na kształt worka po mące, który mogłabym przyodziać w zamian. Przeszukałam szafę, by odnaleźć buty, w których uczyłam w poprzedniej szkole, po czym prędko je założyłam. *Są tak bardzo nijakie, że aż brzydkie*, pomyślałam schodząc na dół i myśl ta bardzo mnie ucieszyła.

Panie Higgins, pomyślałam, dziś powiesz mi, gdzie będę uczyć – inaczej niech ci dopomoże...

Weszłam na ganek, gdzie mój gość już czekał. Chwyciłam lekki szal, włożyłam najmniej twarzowy kapelusz i niechętnie zwróciłam się w kierunku zniecierpliwionego pana Higginsa, który głośno westchnął z ulgą.

Jego spojrzenie omiotło mnie od stóp do głów, jednocześnie komplementując i krytykując.

– Do niczego nie przyda ci się ten kapelusz. Słońce jest dziś przyjemnie...

– Prawdziwa dama nie wychodzi z domu bez kapelusza – ucięłam stanowczo.

– Tu, na zachodzie...

– *Ja* jestem ze wschodu.

Zawył, jakbym uraczyła go niezwykle dowcipnym żartem.

Szybko zapomniał o kapeluszu, gdy jego wzrok padł na moje stopy.

– Te buty... – powiedział – jak w ogóle możesz w nich chodzić? Są zdecydowanie zbyt...

– Panie Higgins – przerwałam mu. – Zaczynam mieć wątpliwości czy to dobry pomysł, bym panu towarzyszyła. Jeśli te buty nie nadają się do miejsca, w które pragnie mnie pan zabrać, to zaczynam się zastanawiać, gdzie mamy się udać.

Porzucił drążenie tematu mojego stroju i gestem zaproponował, bym wzięła go pod ramię. Udałam, że tego nie widzę i wyszłam na zewnątrz, zmierzając ku dość ładnie prezentującemu się powozowi zaprzęzonemu w jednego konia.

Pan Higgins z wielkim rozmachem wskazywał mi barwne jesienne kolory, a ja z pewnością bardziej bym się nimi zachwycała, gdybym była w innym towarzystwie. Tęskniłam za głęboką czerwienią dębów i klonów, które tak dobrze znałam z rodzinnych stron, ale moja dusza rozkoszowała się złotem drżących topoli w połączeniu z zielonymi odcieniami sosen i świerków rozsianych w dolinie rzeki. Widok rzeczywiście zapierał dech w piersiach.

Pan Higgins skierował się na zachód od miasta, a bezpośrednio przed nami wznosiło się wzgórze. Wiedziałam, że jeśli dotrzemy na jego szczyt, ponownie zobaczą te piękne góry.

Nie chciałam jednak rozkoszować się ich widokiem w towarzystwie pana Higginsa, dlatego też poczułam głęboką ulgę, gdy zatrzymał się tuż obok grzbietu wzdórza.

Wyskoczył z powozu, przeszedł dookoła i wyciągnął dłoń, by pomóc mi zejść. Nie mogłam odmówić, gdyż byłoby to okropnie niegrzeczne, dlatego też przyjąłam jego pomoc, lecz odsunęłam się, gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi. Wybrał miejsce, które najbardziej mu się spodobało i rozłożył koc, a na nim powykładał zawartość koszyka. Na szczęście, jedzenie było dobre. Rozmawialiśmy o tym i o owym, lecz mając w pamięci jego uwagę dotyczącą wstrzymania się z dyskusjami o pracy na czas posiłku, nie próbowałam kierować rozmowy w stronę tematu związanego z moimi obowiązkami jako nauczycielki. Jednakże byłam zdecydowana, że jeżeli pan Higgins nie poruszy tej kwestii, ja to uczynię zaraz po tym, jak skończymy posiłek.

Pan Higgins wstał, gdy tylko skończył jeść.

– Chodź, moja droga – powiedział, wyciągając rękę w moim kierunku.

Chciałam, żeby nie używał tak poufatego określenia, gdy się do mnie zwracał. Wytręcało mnie to z równowagi.

– Chodź – powtórzył. – Chcę ci coś pokazać.

Wskazałam ręką nieuprzątnięte resztki jedzenia na kocu.

– Ale to...

– Niech tak zostanie. Pozbieramy wszystko, kiedy wrócimy – powiedział, zupełnie się tym nie przejmując.

– Ale do tego czasu mrówki i muchy...

– Ależ z ciebie maruda – odpowiedział, a w jego głosie czuć

było nutkę irytacji. Odwróciłam się tyłem do rozsianych na kocu pozostałości. Przecież to był jego koszyk. Jeżeli ma ochotę zabrać ze sobą do domu kolonię mrówek, to czemu ja mam się tym przejmować?

Wchodząc na trawiaste wzgórze zdałam sobie sprawę, dlaczego tak bardzo uczeplił się moich butów. W górę stromego zbocza nie prowadziła żadna ścieżka, a wspinanie się przysparzało pewnych trudności. Gdy tylko zwalniałam, oferował mi swoją rękę, dlatego też przyspieszyłam, by go wyprzedzić. Kiedy ogłosił postój, byłam już zdyszana i ucieszyłam się, że mogę się zatrzymać i odpocząć.

Podszedł do mnie i powoli odwrócił mnie, bym mogła spojrzeć w dół na zabarwioną jesienią dolinę.

U naszych stóp rozpościerał się widok na rzekę i miasto. Z tego punktu obserwacyjnego budynki Calgary wyglądały na chronione, bezpieczne. Próbowałam odnaleźć wśród nich dom Jona i Mary, nie udało mi się to jednak.

– Muszę ci coś powiedzieć – w głosie pana Higginsa słychać było nutę podekscytowania i pewności siebie.

– Zdecydował pan o moje szkole?

Zaśmiał się rubasznie i skrzekliwie. Odwróciłam się, by na niego spojrzeć, i z niesmakiem zauważyłam zagniecenia na jego garniturze.

– Ten teren, na którym teraz stoimy, należy do mnie. Właśnie go kupiłem.

Zamrugałam, nie mogąc zrozumieć związku pomiędzy tym, co pan Higgins właśnie powiedział, a tym, co to ma wspólnego

ze mną. Przypominając sobie jednak o dobrych manierach powiedziałam:

– Bardzo się cieszę pana szczęściem. Zdecydowanie wybrał pan ładny widok. Co zamierza pan zrobić z tą ziemią?

– Zamierzam zbudować tu dom, dokładnie tutaj, z pełnym, odsłoniętym widokiem na dolinę.

Spojrzałam w dół zbocza.

– Ładne miejsce – skomentowałam bez emocji.

– Naprawdę ci się podoba?

– Tak, oczywiście. Widok jest piękny. – Miałam nadzieję, że nie przesadziłam z zachwytem. Miejsce to *było* urocze, ale naprawdę nie czułam aż takiego entuzjazmu.

– Wiedziałem, że ci się spodoba. – Można było wyczuć pewność siebie w głosie pana Higginsa. – Zbudujemy dom tutaj – powiedział, wskazując ręką.

Wychwyciłam formę mnogą w słowie „zbudujemy”, co wzbudziło we mnie falę współczucia dla tej drugiej osoby, a zarazem uczucie wdzięczności, że nawet człowiek taki jak pan Higgins mógł znaleźć kogoś, z kim mógłby dzielić życie.

– Będzie zwrócony w tę stronę: frontowe wejście, salon...
– powiedział, wykonując zamaszyste gesty ręką. – Co o tym myślisz?

Nie mogłam pojąć, dlaczego to mnie pyta o zdanie, ale wymamrotałam coś w stylu, że tak będzie dobrze.

– Myślę, że lepiej będzie budować z cegieł niż z drewna, choć drewno byłoby łatwiejsze do zdobycia. Cztery czy pięć sypialni, jak myślisz?

– Panie Higgins, ja...

– Nie musisz mnie nazywać panem Higginsem, moja droga Beth – powiedział przymilnie. Zwrócił się do mnie po imieniu i zszokowała mnie ta jego poufałość. – Mów do mnie Thomas lub Tom, jeśli wolisz – jego oczy, wpatrzone we mnie, wyrażały uczucie – albo jakkolwiek tylko zechcesz.

– Panie Higgins – uparcie starałam się zachować formalny ton – obawiam się, że nie rozumiem. Przyszliśmy tu, by porozmawiać o mojej szkole, a zamiast tego...

– Ach, moja droga, widzę, że nie wyraziłem się wystarczająco jasno. Nie będziesz musiała zajmować stanowiska nauczyciela. Wkrótce możemy się pobrać, a ja...

– *Pobrać?* – moja odpowiedź brzmiała prawie jak pisk. – Pobrać? O czym pan mówi?

– Nie udawaj takiej wstydlivej, moja droga. Nie widzę potrzeby, by dłużej z tym zwlekać. Niektórzy mogą uznać to za zbyt ni pośpiech, ale tu, na zachodzie, mężczyzna musi podejmować szybkie decyzje. Nie ma potrzeby podporządkowywać się zbędnym konwenansom. Małżeństwo...

– Ale ja przyjechałam na zachód, żeby *uczyć!*

– Oczywiście – powiedział porozumiewawczo – do czasu, aż nadejdzie odpowiedni moment...

– Panie Higgins, myślę, że pan mnie nie rozumie. – Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Na wschodzie było wielu „odpowiednich” kawalerów, jednakże ja nie mam zamiaru rezygnować z nauczania po to, by wyjść za mąż... by wyjść za mąż *za pana!*

Dopiero po kilku minutach udało mi się przekonać pana Higginsa, że mówię poważnie. Nie mogłam uwierzyć, że

jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach mogłaby rzeczywiście odrzucić jego ofertę. Z łatwością można było wywnioskować, co od tej pory zaczął o mnie myśleć. Odwrócił się gwałtownie i z twarzą wyrażającą obrzydzenie zaczął schodzić w dół stoku. Z trudem mogłam za nim nadążyć. Bez słowa wcisnął resztki jedzenia i naczynia, z mrówkami i ze wszystkim, do swojego kosza piknikowego. Wsadził go do powozu, po czym w niezręcznej ciszy ruszyliśmy do domu Jona.

– Pamiętaj – wycedził, gdy zbliżaliśmy się już do celu – jestem kuratorem. Zatrudniam i zwalniam.

– W takim razie może wolałby pan, żebym wróciła na wschód. Powiem tylko Jonathanowi...

– Absurd! – przerwał mi ostro. – Mamy tu mnóstwo szkół, w których potrzebni są nauczyciele. Jestem pewien, że znajdę dla ciebie odpowiednie miejsce.

– Dziękuję – odpowiedziałam chłodno. – Po to tu przyjechałam.

Przydzielenie do szkoły przyszło w formie listu. Notatka była krótka i oficjalna. Po dokładnym rozważeniu mojej kandydatury stwierdzono, że mam udać się do szkoły w Pine Springs. W kopercie był też bilet na pociąg zarezerwowany na przyszłą środę. Pociąg zmierzał do Lacombe, gdzie miałam się spotkać z panem Laverlym, miejscowym przewodniczącym rady szkoły. Pozostawało mi kilka dni na zadomowienie się, gdyż zajęcia miały rozpocząć się w kolejny poniedziałek.

– Lacombe – powiedziałam na głos. – Gdzie jest Lacombe?

– To na północy – powiedział Jon zza swojej gazety. – Dlaczego pytasz?

– Tam właśnie mam się udać.

Jon wychylił twarz znad gazety.

– Udać się? Po co?

– Do pracy. Tam jest moja szkoła.

– Niemożliwe.

– Tak jest tu napisane. Mam nawet bilet na pociąg.

– Ale to jest ponad sto mil stąd. To musi być pomyłka.

– Ponad sto?

– Widzisz, na pewno pomyłka.

Wtedy do mnie dotarło. Pan Higgins zadbał o to, bym znalazła się jak najdalej od Calgary. Czy była to jego zemsta? Może nawet liczył na to, że odmówię i wrócę zapłakana z powrotem na wschód. Cóż, nie dam mu tej satysfakcji.

– Jestem pewna, że to nie jest pomyłka, Jon – powiedziałam spokojnie. – Ta nazwa brzmi uroczo.

– Czyli chcesz to rozważyć?

– Oczywiście.

– Będziesz uczyć w Lacombe?

– Właściwie to szkoła jest w Pine Springs.

– Toż to na kompletnym odludziu!

– Brzmi uroczo – stwierdziłam ponownie.

– To głęboka prowincja, ledwo zamieszkana. Jestem pewien, że zaszła tu jakaś pomyłka. Porozmawiam z Thomasem.

– Nie, Jon, proszę – powiedziałam szybko. – Chcę przyjąć to stanowisko.

Gdy tylko dostrzegłam zdumione i zranione spojrzenie Jona, pospieszyłam z wyjaśnieniem.

– Bardzo nie chcę opuszczać ciebie, Mary i dzieci.

Pokochałam was wszystkich ogromnie, ale ten wyjazd dobrze mi zrobi. Nie rozumiesz? Od zawsze byłam chroniona przez bliskich. Chciałabym się przekonać, czy potrafię sama o siebie zadbać, czy potrafię stanąć na własnych nogach.

– Jesteś pewna, że tego właśnie pragniesz? – Jon spojrzał na moje starannie uczesane włosy, miękkie dłonie, czyste paznokcie oraz eleganckie ubranie.

Rozumiałam, co znaczy to spojrzenie.

– Jestem pewna – odpowiedziałam stanowczo.

– Cóż, nie wiem, co powie na to mama. Miałem cię chronić.

– Mama nie musi o niczym wiedzieć... przynajmniej na razie...

– Ale...

– Poinformuję ją, że będę mieszkać sama, ale nie musi wiedzieć, jak daleko będę od ciebie, to tylko niepotrzebnie by ją zmartwiło.

– Nadal nie jestem przekonany, ale jeśli uważasz, że...

– Och, tak. Naprawdę chcę spróbować.

Gazeta Jona wróciła na swoje pierwotne miejsce, co wskazywało na to, że uznał temat za zakończony. Siedziałam prawie bez ruchu i mięłam w palcach bilet do Lacombe.

– Właśnie coś sobie uświadomiłem – powiedział Jon, znowu wychylając się zza swojej gazety. – Pine Springs, to okolice, z których pochodzi Wynn.

– Kto taki?

– Widziałaś mnie z nim parę dni temu, gdy robiłaś zakupy. Pamiętasz?

Czy pamiętam?! Staralam się, by moje słowa zabrzmiały nonszalancko.

– Och, tak, chyba wiem, o kim mówisz. To on nie jest z Calgary?

– Nie do końca. Po prostu często tu bywa. Ostatnio był w odwiedzinach w szpitalu u swojego brata Phillipa.

– Och, rozumiem.

Czułam ekscytację płynącą w moich żyłach i rozgrzewającą policzki. Cieszyłam się, że Jon znów ukrył się za gazetą.

Zabrałam swój krótki list oraz bilet na pociąg i wymamrotałam coś o rozpoczęciu pakowania, a następnie udałam się do swojego pokoju.

Więc przyjaciel Jona, Wynn, był z Pine Springs. Być może gdy dotrę do Pine Springs, będę miała przyjemność go poznać. Jon nie zapoznał mnie z nim, mimo że miał ku temu doskonałą okazję. Jeśli dobrze rozumiałam posunięcia mojego brata, oznaczało to, że Wynn był kawalerem. Na tę myśl uśmiechnęłam się delikatnie.

Ty głupia gąsko! – skarciłam się w myślach. *Zachowujesz się w sposób, który nawet Julie uznałaby za dziecinny. Skończ z tymi bzdurami i to zaraz! Naprawdę nie wiem, co cię opętało.*

Pomimo to, wciąż trzymając bilet kolejowy, nie mogłam powstrzymać się od szeptu:

– Dziękuję, panu, panie Higgins.

Rozdział ósmy

❖ *Nowa szkota* ❖

Czas podróży do Lacombe zbliżał się nieubłaganie, a ja czułam się zarówno podekscytowana, jak i smutna. Wiedziałam, że będę tęsknić za moją nowo poznaną rodziną; Jon i Mary stali się dla mnie bardzo bliscy, a dzieci były wprost wspaniałe. Gdy pakowałam rzeczy, William trzymał się w pobliżu, by w razie potrzeby służyć mi pomocą, a Sara cały czas wyglądała, jakby zbierało jej się na płacz. Kathleen nalegała, by asystować mi podczas składania szmaragdowo-zielonej aksamitnej sukni, gdy z powrotem owijałam ją w bibułę. Wyraziła żal, że nawet nie było okazji, bym ją założyła podczas pobytu w Calgary.

Ostatni raz trzymałam w ramionach małą Elizabeth, a ona obdarzyła mnie ślicznym, ujmującym uśmiechem. Ucałowałam jej miękkie policzki, uroniwszy przy tym kilka łez.

Mary wielokrotnie powtórzyła, że w każdej chwili jestem w ich domu mile widziana.

– Przyjeżdżaj, kiedy tylko będziesz mogła – powiedziała błagalnym tonem – nawet jeśli miałyby to być tylko na jedną noc.

Obiecałam, że będę ich odwiedzać jak najczęściej.

– I jeśli okazałoby się...

– Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewna. – Wiedziałam, że było to zaproszenie do powrotu, gdybym uznała, że sytuacja, w której się znajdę mnie przerośnie. Doceniałam troskę Mary, ale nie chciałam zachowywać się jak dziecko. Oczywiście, chciałam też udowodnić coś panu Higginsowi!

– Nigdy nie wiadomo, z jaką rodziną będziesz zmuszona zamieszkać – zasugerowała niepewnie Mary.

– Jestem pewna, że nie umieszczono by mnie w domu, który budziłby obiekcje – powiedziałam, starając się, by w moim głosie brzmiała pewność siebie. Lecz prawdę mówiąc, ciężko mi było uwierzyć w troskę pana Higginsa o moje dobre samopoczucie. Nie wiedziałam, jak daleko może się posunąć w swoim pragnieniu zemsty.

– Ale pamiętaj... – powiedziała Mary, a ja zapewniłam ją, że będę pamiętać.

Jon wraz z Williamem, Sarą i Kathleen zawieźli mnie na stację.

Kathleen z poważną miną spytała:

– Ciociu Beth, czy będziesz mnie pamiętać, jeśli dorosnę podczas twojej nieobecności?

– Oczywiście, że tak, kochanie – zapewniłam ją. – Ale nie zamierzam wyjeżdżać na aż tak długo.

Wydawała się pocieszona moją odpowiedzią.

– Szkoda, że nie zostaniesz *moją* nauczycielką – powiedział William.

– I *moją!* – odezwała się Sara, pełna wzruszenia. Rozpocząła szkołę w następnym poniedziałek i chociaż nie mogła się tego doczekać, miała również obawy.

– Ja też żałuję – powiedziałam tuląc ich do siebie. – Ale obiecuję, że napiszę do was i opowiem wam wszystko o Pine Springs i moich uczniach, a wy możecie pisać do mnie o waszych nowych nauczycielach i przyjaciółach.

Pomysł z listami trochę ich rozchmurzył.

Po ostatnich pożegnaniach wsiadłam do pociągu i wybrałam miejsce, które uznałam za najbardziej wygodne. Zauważwszy siedzącego po drugiej stronie mężczyznę z cygarem zdałam sobie sprawę, że postąpiłam nieroztropnie, ale nie chciałam się przesiadać z obawy, by moje zachowanie nie zostało odebrane jako nietakt. W końcu żona pana z cygarem zażądała, żeby je zgasił, gdyż nie mogła już znieść tego „śmierdzącego paskudztwa”. Zostałam wybawiona z kłopotu.

Myślałam, że pociąg nigdy nie dotrze do Lacombe. Wlókł się niemiłosiernie, zatrzymując się w każdym z miejsc, w których stał więcej niż jeden budynek. Wyjeżdżając z każdego małego dworca pociąg syczał i sapał, szarpał i jęczał. Wydawało mi się, że trwa to wieki.

Wyjątkowo długi postój odbyliśmy w mieście zwanym Red Deer. Z zaciekawieniem przyglądałam się, jak wagony towarowe odjeżdżają z mnóstwem ładunków takich jak worki z mąką, nieoznakowane skrzynie, a nawet piec. W końcu, gdy przeładowywanie trwało tak długo, że zaczynałam podejrzewać, że

i *mój* bagaż został zabrany z pociągu, wznowiliśmy naszą mozolną podróż.

W międzyczasie zmienił się krajobraz. Prerie zostawiliśmy daleko za sobą, a teraz toczyliśmy się przez tereny zalesione. Tu i ówdzie znajdowały się pola wykarczowane przez osadników. Wszędzie widać było duże stosy kłód i pniaków, niektóre z nich otoczone polami wschodzącego zboża.

Zasiane ziarno było teraz prawie gotowe do zbiorów, a większość rozmów moich współpasażerów koncentrowała się na plonach, ich jakości, oraz pogodzie. Były to dla mnie tematy zupełnie nowe i bardzo mnie zainteresowały.

Późnym popołudniem konduktor przeszedł przez pociąg, wołając:

– Lacombe! Następny przystanek, Lacombe.

Zaczęłam zbierać swoje rzeczy i starannie schowałam opakowania, w które Mary zawinęła dla mnie posiłek na drogę. Niechętnie go przyjął, ale tak nalegała, że nie mogłam odmówić. Ostatecznie byłam jej wdzięczna i ze smakiem zjadłam każdy kęs. Strzepałam z kolan niewidzialne okruszki i wstałam, by wygładzić spódnicę.

Pociąg zatrzymał się gwałtownie, wydając głośny pisk. Chwyciłam swoje pakunki i podążyłam na spotkanie z panem Laverlym. Po zaledwie kilku godzinach jazdy czułam się zeszywniała i zmęczona. Ciężko mi było wyobrazić sobie, jak udało mi się przetrwać wcześniejszą czterodniową podróż z Toronto.

Gdy schodziłam po stopniach, moje oczy pośpiesznie szukały mężczyzny, który wyglądałby jak pan Laverly. Z łatwością zauważyłam człowieka wysłanego na spotkanie ze mną.

Była to *ta druga* niespokojna osoba na peronie. Przedstawiłam się, a on zaproponował mi filiżankę kawy, zanim wyruszymy. Sam został na stacji, by zająć się moimi bagażami, a jego córka Pearlle została wypchnięta w moim kierunku, aby wskazać mi drogę do kawiarni w miejscowym hotelu. Hotel ów znajdował się niedaleko, a ona prowadziła mnie w dziarskim tempie.

Znalazłyśmy wolny stolik w rogu sali, a po złożeniu zamówień i złapaniu oddechu, zaczęłyśmy rozmowę. Ucieszyło mnie, że Pearlle nie była nieśmiała i swobodnie udzielała odpowiedzi na moje pytania. Zależało mi na tym, aby dowiedzieć się wszystkiego na temat Pine Springs.

– Jak ci się podoba w szkole? – zapytałam, sądząc, że to normalne pytanie, które zadałby każdy nauczyciel.

– Jest w porządku, ale nie lubiłam mojego ostatniego nauczyciela tak bardzo, jak tego poprzedniego. Ale – pospieszyła z wyjaśnieniem widząc moją zdziwioną minę – przynajmniej był lepszy niż ten wcześniejszy.

– Co rok zmienia ci się nauczyciel?

– Najczęściej tak. Choć jednego miałam przez półtora roku.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało większego znaczenia.

– Jak daleko jest stąd do Pine Springs?

– Tata mówi, że jakieś pół godziny.

– A jak tam jest?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej tam nie byłam.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.

– Nie mieszkasz w Pine Springs?

– Nie. Mieszkam tutaj, w Lacombe.

– Ale czy to nie twój tata ma mnie zawieźć do Pine Springs?

– Tak. Nikt w Pine Springs nie ma auta, więc pan Laverly zlecił tacie, żeby panią zawiózł. Pan Laverly powiedział, że zanim pani tam dojedzie wozem, może się pani rozmyślić i uciec z powrotem na wschód, a on na pewno by tego nie chciał.

– Rozumiem. – Uśmiechnęłam się na myśl o tym, co pan Laverly może uważać na temat dam ze wschodu. – Więc nie masz na nazwisko Laverly.

– Nie. Nazywam się Ainsworth.

– Mieszkasz i chodzisz do szkoły tutaj w Lacombe?

– Tak jest.

– Czy wiesz może, ile dzieci chodzi do szkoły w Pine Springs?

– Jeszcze żadne.

– Słucham?

– To nowa szkoła, dopiero ją zbudowali. Próbowali zatrudnić jakiegoś nauczyciela, ale pan Higgins nigdy dla nich nikogo nie znalazł. Zbudowali szkołę dwa lata temu. Brakowało tylko nauczyciela. Ostatniej jesieni też nikogo nie znaleźli. A w tym roku przyjechała pani. Pan Laverly bardzo się ucieszył. Dlatego poprosił tatę, żeby panią zawiózł. Mój tata jest jedyny w okolicy z dobrym autem – dodała z dumą.

– To bardzo uprzejme z jego strony. Czym zajmuje się twój tata?

– Pogrzebami. Ostatnio interes dobrze nam idzie. Słyszałam, jak mówił to mamie. Powiedział, że może nawet kupić tę

nową maszynę do prania, o której tak marzyła. Nie będzie już musiała używać starej tarki.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

– To z pewnością ulży twojej mamie w pracy.

Pearlie obserwowała mnie uważnie. Gdy tylko skończyłam herbatę, wstała z krzesła.

– Lepiej wracajmy. Tata pewnie skończył już pakować pani rzeczy do auta.

– Jedziesz z nami do Pine Springs? – zapytałam, mając nadzieję, że odpowiedź będzie twierdząca.

– Muszę – powiedziała. – Muszę pomóc tacie uruchomić auto.

– Pomóc? Jak mu w tym pomagasz?

– Dbam o zassanie i takie tam, a on kręci korbą.

Wróciliśmy na dworzec i zastałyśmy wzburzonego tatę Pearlie chodzącego tam i z powrotem. Przed nim na peronie leżały moje kufry. Wnioskując po sposobie, w jaki kierownik stacji na mnie spojrział, domyśliłam się, że zamienił już parę zdań z panem Ainsworthem.

– Te muszą zostać. Nie ma na nie miejsca w aucie – powiedział bez ogródek ojciec Pearlie.

– Ale ja ich potrzebuję! – zaprotestowałam. – Tam są moje ubrania, moje...

– Nic na to nie poradzę. Mogę zabrać bagaż podręczny, ale kufry będą musiały tu zostać. Ktoś będzie musiał przyjechać wozem i je odebrać.

Widziałam, że podjął już decyzję. Poza tym chyba miał rację. W samochodzie rzeczywiście nie było miejsca na moje kufry.

– Resztę rzeczy położyłem na tylnym siedzeniu. Może pani usiąść obok nich.

Tak też zrobiłam. Kierownik stacji został wezwany machnięciem ręki i otrzymał instrukcje dotyczące moich bagaży. Wkrótce potem przełożono je na wózek i zawieziono do małego drewnianego budynku.

Pearlie zajęła miejsce za kierownicą i umiejętnie wyciągała i przekręcała gałki, podczas gdy jej tata zaczął z mozołem kręcić korbą. Sporo się natrudził, nim silnik wreszcie zaskoczył. Pan Ainsworth podbiegł do drzwi i wepchnął się za kierownicę obok Pearlie. Jego twarz była czerwona i spocona z wysiłku.

Zaczęliśmy ostrożną jazdę przez małe miasteczko, omijając wyboje, pieszych oraz powozy. Psy z przyjemnością goniły ten niezwykle środek lokomocji, odprowadzając nas szczekaniem, skakaniem i kłapaniem zębami. Wstrzymałam oddech na myśl, że auto mogłoby któregoś z nich przejechać, ale pan Ainsworth jechał tak, jakby w ogóle tych psów nie dostrzegał.

To była długa, wyboista przejażdżka w tumanach kurzu. Ta droga na pewno nie była stworzona do jazdy z nadmierną prędkością, o co ojca Pearlie nie można było posądzić. Ale nie chciałabym uchodzić za niewdzięczną; cieszyłam się, że nie muszę odbywać tej trasy powozem.

Rozglądałam się za moimi ukochanymi górami, ale z tej perspektywy widziałam tylko porośnięte drzewami wzgórza.

Mijaliśmy wiele wykarczowanych uprzednio pól. Na większości rosły zboża w różnych fazach dojrzwania. Na niektórych pasło się bydło lub konie, dostrzegłam też kilka stad owiec.

Domy i zabudowania gospodarcze były przeważnie drewniane. Patrzyłam na nie z zafascynowaniem.

Już miałam zamiar dotknąć ramienia Pearlie i zapytać, ile jeszcze będziemy jechać, ale przypomniałam sobie, że nie będzie wiedziała, skoro nigdy wcześniej nie była w Pine Springs. Jakies dziesięć minut później skręciliśmy w podjazd, przy którym stał drewniany budynek. Stwierdziłam, że to musi być moja nowa szkoła.

Przejechaliśmy obok niej po brązowiejącej trawie i podjechaliśmy pod mniejszy budynek usytuowany po lewej stronie na tyłach szkoły.

– Jesteśmy! – rzekł donośnie tata Pearlie starając się przekrzywić warkot silnika. Zdałam sobie sprawę, że nie planował go wyłączać – nie chciał po raz kolejny przechodzić nieprzyjemnej procedury uruchamiania auta. Nie dziwiłam mu się.

Musiał zauważyć moją minę, bo odezwał się głośno:

– To kwatery nauczycielska, tu będzie pani mieszkać.

Kwatery nauczycielska? Zebrałam myśli oraz bagaże i wydostałam się z auta. Moi towarzysze podróży nawet się nie poruszyli.

– Ale ja nie mam klucza! – jęknęłam przez okno samochodu.

– Klucza?

Zachowywał się tak, jakby nigdy nie słyszał o takim przedmiocie.

– Tak, klucza. Jak inaczej wejść do tego domu?

– Klucz niepotrzebny. Tu nie ma zamka. Miłego dnia, psze pani. – Uniósł kapelusz, popchnął dźwignię zmiany biegów, a auto zastukało i powoli wyjechało z podwórza.

Patrzyłam, jak odjeżdżają. Pearlle machała mi energicznie, a ja ledwie uniosłam rękę na pożegnanie. Kiedy zniknęli mi z widoku, zebrałam swoje pakunki i spróbowałam otworzyć drzwi. Tata Pearlle miał rację, wystarczyło lekko pchnąć. Weszłam obejrzeć miejsce, które miało być od teraz moim nowym domem.

Spodziewałam się, że będę lokatorką u jakiejś rodziny w sąsiedztwie szkoły. Wstrząsnął mną niewielki dreszcz strachu. Powiedziałam sobie jednak, że nie mogę się tak głupio bać i że mieszkanie samemu okaże się o wiele wygodniejsze, a poza tym będę miała tak blisko do pracy.

Później dowiedziałam się, że ten domek został zbudowany ostatniej zimy jako dodatkowy budynek dla pana Higginsa, aby łatwiej mógł znaleźć chętnego nauczyciela do tej szkoły. Byłam tu pierwszym mieszkańcem.

Przeszłam przez drzwi wejściowe do małego pokoju, który był połączeniem kuchni i salonu. W jednym z kątów stała mała szafka, a obok niej bardzo zużyty piec. Płonął w nim ogień, więc ktoś dopiero co musiał tu zaglądać. Na piecu stał czajniczek i pogwizdywał wesoło, wypuszczając słupek miękkiej, migoczącej pary. Coś w tym czajniku nagle sprawiło, że poczułam się jak w domu. Zaczęłam się rozluźniać. Mój wzrok szybko ogarnął pokój. Znajdowały się w nim również stół i dwa krzesła, naprawione i świeżo pomalowane na kolor bladej zieleni. Dwa tapicerowane krzesła, z przykrywającymi je pstrokatymi, ręcznie robionymi pikowanymi narzutami i mały stolik pomiędzy nimi, przyozdabiały mój salon. Przy jednej ze ścian stał kredens.

Z tej perspektywy widziałam też drugi pokój, a po pobieżnym przyjrzeniu się pierwszemu, szybko przeszłam przez łączące oba pomieszczenia drzwi. W drugim pokoju stało łóżko i komoda. Meble wyglądały na mocno używane, ale czyste. Materac łóżka był grudkowaty, ale obszyto go nowym poszyciem ze świeżo wypranego worka po mące. W miejscu głowy spoczywała nowa poduszka; zastanawiałam się, czy jej puszystość zawdzięczam lokalnemu ptactwu. Na końcu łóżka leżała schludnie złożona pstrokata kołdra.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nadal trzymam w rękach bagaże. Wróciłam do pierwszego pokoju i położyłam je na jednym z tapicerowanych krzeseł. Jakby w transie podeszłam do pieca i sprawdziłam, czy nie trzeba dołożyć drewna. Nigdy wcześniej nie miałam osobiście do czynienia z piecem i nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się z nim obchodzić, ale wydawało mi się dość oczywiste, gdzie należy wetknąć drewno.

Rozejrzałam się dokoła i dostrzegłam kilka rzeczy na stole. Podeszłam do nich. Moją uwagę przykuła kartka, na której było napisane:

Droga panienko

Ja pomyślała, że pani zmęczona i głodna po podróży, więc zostawiła dla pani parę rzeczy. Jutro zajdziemy zobaczyć, czy czegoś pani nie trza. Mamy nadzieję, że jej się tu spodoba. Bardzo się cieszymy, że pani przyjechała.

Martha Laverly

Na stole stały puszki z herbatą, cukrem, kawą i solą, a także ser, świeże pieczywo i ciasto. Podeszłam do kredensu i go

otworzyłam. Przywitała mnie kolekcja niedopasowanych naczyń i garnków. Wyjęłam brązowy dzbanek z wyszczerbioną pokrywką oraz niebieski kubek z różą z boku, położyłam go na bladożółtym spodku i zaczęłam przygotowywać sobie herbatę.

Gdy herbata się parzyła, otworzyłam drugie drzwi kredensu i znalazłam podstawowe produkty spożywcze w małych pojemnikach. Nie mając wprawy w kuchni, byłam wdzięczna, że pojemniczki zostały starannie opisane.

Na kredensie stała miska z wodą, a w wodzie trzy słoiki. Jeden zawierał śmietanę, drugi – mleko, a trzeci – masło. *Więc tak przechowuje się nabiał, gdy nie ma lodówki.* Zanurzyłam palec w wodzie i zdziwiłam się, jak bardzo była zimna.

Na kufrze przy drzwiach stało wiadro wody z małą chochlą, do tego miska i blaszany pojemniczek z kostką mydła. Przełałam trochę wody do miski i umyłam ręce. Uświadomiłam sobie, że dopóki nie przyjadą moje bagaże, nie mam żadnego ręcznika. Wyszłam więc na zewnątrz i starałam się strzepać wodę z rąk, następnie zaś chodziłam tam i z powrotem, ocierając je lekko o siebie, aż wyschły.

Gdy wróciłam, herbata była już gotowa. Ukroiłam kromkę świeżego chleba i posmarowałam ją masłem, a następnie ukroiłam sową porcję sera. Usiadłam na wolnym krześle i delektowałam się jedzeniem. Świeży chleb i gorąca herbata smakowały wspaniale! Już dawno nie jadłam tak pysznego posiłku.

Rozejrzałam się po mojej kwaterze, tym razem już bardziej krytycznie. W oknach wisiały białe, dość sztywne zasłony. Stół przykryty był białym obrusem z tego samego materiału, ale z ozdobnym ścięciem krzyżykowym. Ściany były gołe,

z wyjątkiem wiszącego kalendarza. Małe, jasne, okrągłe dywaniki wyróżniały się na tle prostej drewnianej podłogi. Wszystkie meble były zdecydowanie z drugiej ręki. Gdy tak na nie patrzyłam, myślałam o ludziach, którzy oddali coś z własnego domu, aby nowa kwatery nauczycielki mogła zostać umeblowana. Czy było to dla nich poświęceniem? Odłożyłam pusty kubek i znów weszłam do sypialni.

Zasłonki, które tam wisiały, były z tego samego grubego, białego materiału. Na komodzie przy ścianie leżały starannie złożone dwie dodatkowe poszewki. Wszystko było ręcznie robione, najwyraźniej zszyte z lepszych części zużytej odzieży. Umiejętnie i artystycznie wykonane, prezentowały się bardzo dobrze. Podziwiałam owo rękodzieło i doceniałam czas, który został w nie włożony. Na podłodze leżały trzy dywaniki, jeden przed łóżkiem, kolejny przed komodą, a ostatni przy drzwiach. Na ścianie wisiało lustro z pęknięciem biegnącym nierówno w dolnym rogu.

Więc nie będę mieszkać u żadnej rodziny, powiedziałam do siebie. Będę mieszkała zupełnie sama, w tym małym drewnianym domku.

Wróciłam na krzesło i nalałam sobie drugą filiżankę herbaty. Rozejrzałam się po moim nowym gniazdku czując głęboki szacunek dla ludzi, którzy tak ciężko pracowali i poświęcili tak wiele, by mnie tu sprowadzić. Opuściło mnie uczucie paniki i zaczęłam odczuwać z tymi pionierami więź, która przenikała do mojego umysłu i serca. Gdy tylko pomyślałam o nieznanym mi jeszcze sąsiadach, poczułam się niemalże szczęśliwa. *Będę kochać i uczyć wasze dzieci najlepiej jak potrafię, zdecydowałam.*

Uśmiechnęłam się do siebie i popijając herbatę powiedziałam na głos:

– Dziękuję, panie Higgins. Nie mógł mnie pan postawić w lepszej sytuacji.

Dopiero gdy poszłam poszukać miski i większej ilości gorącej wody do umycia naczyń, odkryłam przykryty garnek z gulaszem gotujący się na wolnym ogniu z tyłu pieca. Przecypysznie zapachniało, gdy podniosłam pokrywę i zamieszałam danie. Mimo że najadłam się już chlebem i serem, nie mogłam powstrzymać się od nałożenia sobie małej porcji gulaszu. Był *pyszny*. Resztę zostawiłam sobie na jutrzejszy obiad.

Rozdział dziewiąty

❧ *Odludzie* ❧

Resztę dnia spędziłam na dalszym badaniu okolic mojego nowego domu. Poza nim i szkołą (której drzwi były zabite gwoździami), odkryłam szopę na drewno, małą stodołę i dwa wychodki z napisami: „Chłopcy” i „Dziewczęta”. Na podwórku stała też pompa, a ja zdałam sobie sprawę, że stąd będę czerpać wodę. Nie mogąc się oprzeć, by jej nie wypróbować, chwyciłam za rączkę. Minęło dużo czasu, zanim pojawiła się woda, a kiedy włożyłam dłoń pod jej strumień, była tak zimna, że aż zadrżałam. Usiadłam na niewielkim podwyższeniu od pompy, aby złapać oddech, dotykając wciąż jeszcze zimną ręką rozgrzanych policzków i czoła.

Podwórko było zaniedbane, ale dotychczas nikt z niego przecież nie korzystał. Wysoka trawa została niedawno skoszona i teraz leżała pozostawiona na ziemi, przybierając już brązowy odcień. Pachniała stęchlizną, a wokół latały chmary owadów.

Zajrzałam przez jedno z okien do wnętrza małego budynku szkoły i dostrzegłam biurka różnej wielkości i w różnym stanie, duży, stojący przy drzwiach okrągły piec oraz ręcznie zrobioną tablicę tuż za biurkiem nauczycielskim.

Nie wracałam do kwatery, dopóki słońce nie udało się na odpoczynek. A zachód słońca był wspaniałym widowiskiem. Zastanawiałam się, czy był to specjalny pokaz na moją cześć, czy też zachody często były tu tak spektakularne. Rzadko kiedy widywałam tak cudowną scenę; burzliwe kolory płonęły na niebie w odcieniach, których nie umiałam opisać słowami. Ptaki śpiewały swoje ostatnie piosenki przed snem, a ciemność wciąż jeszcze nie nadeszła. *Teraz dopiero w pełni rozumiem słowo „zierzch”, pomyślałam. Zostało ono stworzone, by opisać to właśnie miejsce o tej właśnie porze.*

Powietrze zaczęło się ochładzać i w końcu zaczęła zapadać ciemność. Powoli skierowałam się w stronę mojego małego schronienia, chcąc śpiewać na głos pieśń, która rozbrzmiewała w moim sercu. Ten nowy świat był tak spokojny, tak harmonijny.

Stałam przy oknie budynku szkoły, chcąc po raz ostatni popatrzeć w jego ciemne wnętrze, gdy niespodziewanie cisza spokojnego wieczoru została przerwana przez mrozące krew w żyłach wycie. Ciarki przeszły mi po plecach, po czym cała zaczęłam drżeć z przerażenia. Wycie zdążyło ucichnąć, gdy znienacka dołączyły do niego kolejne.

Oprzytomniałam. To były wilki! I to dokładnie tu, na moim podwórku! Pewnie wywęszyły nową ofiarę i właśnie mnie otaczają.

Wystrzeliłam jak z procy w kierunku domku, modląc się, aby Bóg jakoś je powstrzymał dopóki nie znajdę się w środku. Moje stopy zaplątały się w skoszoną trawę i upadłam na kolana. Krzyknęłam w panice i brnęłam na czworakach, nie starając się nawet stanąć na nogi. Ostre ściernisko traw i chwastów wbijało się w moje dłonie, nie zważałam jednak na to. Tymczasem znów usłyszałam kolejne przerażające wycie.

– O mój Boże! – zawołałam, a łzy spływały mi po policzkach.

Wydawało się, że wycie otacza mnie ze wszystkich stron. Zaczynało się od jednego głosu, a kończyło jako cały chór. Co te wilki sobie przekazywały? Byłam pewna, że rozmawiały o moim nadchodzącym końcu.

Wreszcie dotarłam do drzwi i wgramoliłam się do środka. Z trudem wstałam i oparłam się plecami o tę niezbyt solidną drewnianą barierę. W każdej chwili spodziewałam się ataku. Nie słyszałam żadnych odgłosów pędzących łap, tylko sporadyczne wycie. Ale Julie mówiła, że wilki na zachodzie są pod tym względem jak koty: bezgłośnie, cicho podkradające się do swoich ofiar.

Skierowałam wzrok w kierunku okien. Okna! Czy wilki byłyby w stanie rozbić szybę?

Zmusiłam się, by odsunąć się od drzwi, sprawdzając uprzednio, czy nie ma tam na pewno jakiegoś zamka. Był jeden, a przynajmniej coś, co mogło za niego uchodzić – zwykły haczyk i oczko. Zupełnie nieadekwatny, by powstrzymać pół-tonowego wilka.

Julie mówiła, że są to ogromne zwierzęta, z oczami, które błyszczą wściekłą czerwienią, szczękami rozwartymi jakby w złośliwym uśmiechu i sierścią odstającą wokół karku na

trzydzieści centymetrów, przez co wyglądają jak złowieszczy ludzie w ciężkich futrach z bobra z wielkimi kołnierzami.

Trzęsącymi się palcami zamknęłam drzwi na haczyk i popędziłam do kuchni. Co mogłoby je powstrzymać? Może gdybym powiesiła narzuty w oknach, zapach mojej ciepłej krwi nie dotarłby do nich tak łatwo. Co sugerowała Julie? Mówiła, że ogień to jedyna rzecz, która mogłaby odstraszyć wilki.

Pospieszyłam do pieca. Był chłodny i już nie było w nim żaru.

– Muszę rozpalić ogień. Muszę! – załkałam i zaczęłam wrzucać papier i podpałkę do paleniska. Wiedziałam, że są to zapasy przeznaczone na jutrzejszy ranek, ale potrzebowałam ich *teraz*.

Nieporadnymi ruchami próbowałam zapalić zapalną, gdy niespodziewanie nowe wycie przecięło powietrze jak sztylet. Dźwięk nie wydawał się bliższy niż wcześniej, ale może była to ich strategia, by uspić czujność ofiary. Może część z nich oddaliła się gdzieś i wyła, podczas gdy pozostałe zakradały się w ciszy, by zaatakować.

Papier w końcu zajął się ogniem, a ja niedbale rzucałam na niego rozpałkę. Głodny, nowo narodzony płomień pożerał ją zachłannie. Umieściłam pokrywę na piecu. Ku mojemu przerażeniu, nie było wtedy widać żadnych oznak palącego się ognia, poza niewielką ilością ciepła, które zaczynało emanować z czarnego metalowego blatu.

– Nie mogę tego przykryć, po prostu nie mogę. Jak to ma mnie ochronić, gdy nie będzie widać ognia? – powiedziałam do siebie.

Znowu zdjęłam pokrywę. Płomienie były teraz większe, a ja dorzuciłam jeszcze drewna.

Pokój wypełniał się dymem. Przysunęłam się do pieca, tak blisko płomieni, jak tylko mogłam, po czym zaczęłam kaszleć. Wyciągnęłam chusteczkę z kieszeni i zakryłam nią usta. Wtedy zdałam sobie sprawę, że moja suknia jest rozdarta i zwisa luźno wokół talii. Prawie oderwałam spódnicę od gorsetu. Musiało się to stać podczas mojego szaleńczego czołgania się do domu.

Nadal podsycalam ogień i przytulałam się do pieca, kaszłając i płacząc od dymu. Nagle zdałam sobie sprawę, że minęło już kilka minut odkąd po raz ostatni usłyszałam wycie wilków. Czy to była jakaś sztuczka? Ruszyły dalej, czy może po prostu chciały odciągnąć mnie od ognia? Żałowałam, że nie dowiedziałam się więcej o zwyczajach dzikich stworzeń, jak radziła mi Julie. To było bardzo nierozsądne z mojej strony, że przyjechałam na te dzikie tereny nieprzygotowana. Nie miałam nawet pistoletu ani nie wiedziałam, jak go używać.

W tej nowo powstałej ciszy moje bijące serce rozbrzmiewało głośno. Kilka razy słyszałam, jak pohukuje sowa, a potem ona też chyba odleciała. Wciąż jednak stałam przy ogniu. Nie odważyłam się nawet podejść do okna, by wyjrzeć na zewnątrz.

Wkrótce na niebie zawisł księżyc. Po jego jasności mogłam stwierdzić, że był w pełni, a kolor miał pomarańczowy niczym jesienna dynia. Nie odstępowałam jednak od pieca i pomiędzy napadami kaszlu wpatrywałam się w cienie otaczające drzewa po drugiej stronie podwórza. Widziałam podwórze wyraźnie, gdyż księżyc unosił się coraz wyżej na niebie, ale mimo że patrzyłam, aż zmęczyły mi się oczy, nie zauważyłam, by cokolwiek

się tam poruszyło. I wtedy, ku mojemu zdumieniu, wprost na podwórze wyszły z cienia dwa jelenie. Spokojnie zaczęły jeść skoszoną trawę. Dodało mi to otuchy, bo przecież nie wyszłyby tak śmiało, gdyby wilcza sfora wciąż była w pobliżu. Ale może wilki potrafiły ukrywać się aż tak, że nawet jelenie nie mógł wyczuć ich obecności? Zależnie od wiatru, czyż nie tak? Zabójca śledził swoją ofiarę od zawietrznej. Ale czy teraz wiało? Znowu wyteżyłam wzrok i słuch, lecz nie drgnął nawet jeden liść, nie usłyszałam też żadnego powiewu.

Nadal dokładałam do ognia. Dym w pokoju był już prawie nie do zniesienia. Nie mogłam zostawić odkrytego pieca ani minuty dłużej, bo na pewno bym się udusiła. Nawet z chusteczką i rąbkiem sukni przykrywającymi nos i usta, ledwo mogłam stać i oddychać resztkami powietrza znajdującymi się w pomieszczeniu. Oczy tak mi łzawiły, że przesiąkła mi cała chusteczka.

Co mogłam zrobić? Zamknięcie pokrywy oznaczało, że nie będzie już widać ognia, ale jeśli pozostawię otwarty piec, wkrótce będę musiała wybiec z domu z braku powietrza. Może właśnie na to czekały wilki. Może wiedziały, że nie mogę dłużej wytrzymać w tym zadymionym pokoju. Może w tej chwili zbierały się właśnie wokół moich drzwi czekając, aż wybiegnę na chwiejnych nogach wprost na spotkanie z ich rozwartymi szczękami. Dołożyłam do ognia i zamknęłam pokrywę.

Minuty wlekły się jedna za drugą. Minęło sporo czasu, zanim odważyłam się odsunąć od pieca. Nadal zastanawiałam się, co zrobić, by przeżyć tę noc. *Lampa*, pomyślałam nagle. *Lampa może zastąpić ogień.*

Po omacku obszukałam zaciemniony pokój, aż znalazłam lampę i zapalki. Gdy zamigotał płomień zauważyłam, że całe pomieszczenie jest aż niebieskie od dymu. Nic dziwnego, że miałam takie trudności z oddychaniem.

Przerażona rozejrzałam się po pokoju. Nie widziałam nic, czym mogłabym się posłużyć w obronie i było już bardzo późno. Nikt o tej porze nie będzie przechodził drogą, która biegła niedaleko moich drzwi. Sądząc po położeniu księżycy domyślałam się, że minęła już połowa nocy. Byłam cała obolała ze strachu i zmęczenia, a ręce i kolana piekły mnie od licznych zadrapań i siniaków. Co mogłam zrobić?

Nagle zrozumiałam, że nie mogę zrobić *nic* i że nierozsądnym było udawać, że się obronię.

Włożyłam więcej drewna do pieca, postawiłam zapaloną lampę na stole przy oknie i poszłam do sypialni. Gdzieś w moich podręcznych bagażach schowałam koszulę nocną, ale nie kłopottałam się z jej szukaniem. Zasłoniłam okno i zdjęłam przez głowę swoją podartą i zabrudzoną suknię. Zostawiłam ją na podłodze, tam gdzie upadła, a na nią rzuciłam jeszcze wierzchnią halkę. Wciąż mając na sobie drugą halkę, podeszłam do łóżka i rozłożyłam na nim kołdrę. Nigdy wcześniej nie spałam bez prześcieradła i pewnie w innych okolicznościach mogłoby mi to przeszkadzać, teraz jednak nie dbałam o to. Już miałam zamiar się położyć, gdy przypomniałam sobie, że materac obity jest czystym materiałem z worka po mące. Zatrzymałam się tylko na chwilę, by chwycić za fragment mojej rozdartej sukienki i dokładnie wytrzeć w nią dłonie i stopy. Następnie położyłam się i naciągnęłam kołdrę na głowę.

– Panie – proszę – zrobiłam wszystko, co mogłam. Teraz Ty będziesz musiał przejąć kontrolę.

Zaduch pod kołdrą nie był lepszy od dymu w pokoju. Wkrótce musiałam odsłonić nos, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. W końcu pomiędzy jednym a drugim atakiem kaszlu jakoś udało mi się zasnąć.

Rozdział dziesiąty

❧ *Lars* ❧

Kiedy następnego ranka otworzyłam oczy, słońce było już wysoko na niebie. Obudziłam się kaszląc i kilka minut zajęło mi dojście do siebie oraz uświadomienie sobie, co się wczoraj wydarzyło. Jedno spojrzenie na stertę ubrań leżących na podłodze wystarczyło, bym przypomniała sobie wczorajszą noc.

Uzucie paniki odeszło, gdy odszukałam w pamięci, jak Julie mówiła, że wilki nie mają zwyczaju skradać się w białe dzień. Odsunęłam kołdrę i już chciałam opuścić nogi na podłogę, gdy zatrzymał mnie przeszywający ból i sztywność. Od razu przypomniały mi się posiniaczone kolana i zdałam sobie sprawę, że powinnam była o nie lepiej zadbać przed położeniem się spać. Powoli usiadłam i podciągnęłam halkę, żeby przyjrzeć się ranom. Zadrapania były czerwone i opuchnięte, ale żadne nie wyglądało na głębokie. Za kilka dni powinny się zagoić. Spojrzałam na dłonie i, jeśli chodzi o rany, też nie wyglądały najgorzej. Zdziwiłam się jednak, jak bardzo były